ŁOWIEC POLSKI



Gęsi wracają na południe... Z serji, nagrodzonej I nagr. na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego" w r. 1936.
Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 27 (911) 20 WRZEŚNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–

**BEZ SOLI**

**NIE WYHODUJESZ ZWIERZYNY**

**Fretki białe** (albinosy) sprzeda po zł. 15.— sztuka. R. Derwanz, leśniczy, Żołędnica, poczta Sarnowa, pow. Rawicz, woj. Poznańskie.

**Krótkowłosy** niemiec w drugiem polu na wodę i ląd, dobrze ułożony—tanio sprzedam. Kozłowski, leśniczy, p. Borzykowo.

**Niedźwiedzia,** ciemno brunatnego, rosyjskiego, stojącego z tacą sprzedam. Tel. 2-64.60 lub „Łowiec Polski".

**Odstrzał** 1—3 jeleli na rykowisku w Karpatach do oddania. Telefon 8-70.96, godz. 4–6.

**Pointer** angielski, Bolmil Bey, 3 lata, znakomity w polu. Okazyjnie sprzedam za zł. 300.—, Warszawa, Żulińskiego 5, tel. 8-75.35, Milewski, lub Toruń, Chełmińska 130, telefon 25-20, Bakierowski.

**Psy myśliwskie**: Irland piękny okaz, na wystawie złoty medal, 2-gie pole — 500 zł. Pointer z rodowodem, 3-cie pole — 400 zł. Pointerka z rodowodem, 2-gie pole — 350 zł. Wyżeł niemiecki, roczniak podtresowany w domu — 150 zł. Szczenięta odchowane do sprzedania. Dobór selekcyjny czołowych reproduktorów wszystkich ras do kopulacji suk. Hodowla Splendor. Warszawa, Krucza 34—20, tel. 851-14. Informacje do 12-tej. Listownie znaczek pocztowy.

**Setter** irlandzki, drugie pole, dobrze ułożony, nagrodzony na wystawie medalem srebrnym. Obejrzeć i wypróbować można u tresera Żółtonosówa w Ząbkach, cena do omówienia.

**Skrzyneczki** specjalnie przeznaczone do przesyłania części padłej zwierzyny, w celu zbadania choroby, do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego". Cena zł. 2.—

**W 5 polu** szorstkowłosa, z dobrą pracą za 150 zł. Szczegóły listownie. Wilejka, Strzemiński.



Z wabu łosi: „chrop". Fot. A. Dobrski.

# O POŻYTECZNOŚCI I SZKODLIWOŚCI DZIKA

W Nr. 14-tym „Łowca Polskiego", czytając w dziale „Z Polskiego Związku Łowieckiego" protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego, widzę, że widocznie zagraża dzikom zniesienie ochrony, skoro ma się rozpisywać ankietę o pożyteczności i szkodliwości dzika w celu, by „zebrany materjał posłużyć mógł za podstawę wystąpienia, uzasadniającego potrzebę utrzymania ochrony dla dzików".

Jakże miło jest widzieć, że Komitet Wykonawczy przez rozpisanie tej ankiety, tak energicznie, przezornie i poważnie zamierza bronić przed popełnieniem wielkiego przyrodniczego błędu.

Byłem przekonany, że i ci, którzy obejmują stanowiska, pozwalające im na decydowanie pomiędzy innemi i takiej sprawy, jak całkowite zniesienie ochrony gatunku pewnego stworzenia, jeżeli chodzi o dziki, mają już niezachwiany sąd, że dzika wytępić, byłoby to stracić najskuteczniejszą przed najgroźniejszemi szkodnikami obronę lasów naszych.

Nie zapominajmy, że — poza wszystkiem — trzeba zawsze bardzo głęboko zastanowić się nad tem, gdy się chce jakiemuś gatunkowi w przyrodzie wypowiedzieć walkę bezwzględną. Jest to sprawa — wnikając w prawa przyrody — ważniejsza, niż niejeden z nas wagę tę dostrzega. — Wobec, widzę, możliwości zbliżania się takiego niebezpieczeństwa, mimo mego lenistwa, czuję się zmuszony do wystąpienia w obronie przed tą grożącą przyrodniczą katastrofą.

Obowiązek ten mój nie wynika bynajmniej, jak pomyślałby ktoś może, z przypisywania sobie jakiejś specjalnej w obserwowaniu zjawisk przyrody bystrości, czy też jakichś specjalnych tutaj uzdolnień, ale poprostu tylko stąd, że łowisko moje obecne daje mi wyjątkowo łatwe pole możności zaobserwowania życia dzików.

Warsztat, na którym gospodaruję, ma powierzchni 900 ha, w tem lasu aż 400 ha. Drzewostan przeważnie, prawie że tylko wyłącznie, sosnowy; sporadycznie rośnie trochę dębów. Lat temu osiem zaczęło pokazywać się, od czasu do czasu, przechodnich tylko trochę dzików. Więcej, jak siedem sztuk, nie otropiliśmy nigdy. W przylegających rządowych lasach nigdy ilość ich nie przekraczała kilkunastu sztuk, mimo że pięknych gąszczów lasy te posiadały wiele.

W tych warunkach nie wyobrażałem sobie, by dziki u mnie mogły się w większej ilości osiedlić. Ale, gdy jedna locha się oprosiła i w łowisku została — postanowiłem dziki oszczędzać.

Mam bardzo energicznego i zamiłowanego zaprzysiężonego strażnika łowieckiego. Dostał polecenie jaknajpilniejszego o zmroku i o świcie obchodzenia granic. W szczególności na jednej z nich trzeba było i trzeba stale... dzikom z pod luf mych „sąsiadów" odcinać drogę!

Po trzech latach miałem już około dwudziestu sztuk stałych dzików, po czterech około czterdziestu, po pięciu około sześćdziesięciu, aż w roku zeszłym doszedłem do ilości około osiemdziesięciu sztuk. W roku tym przybyło trzydzieści parę warchlaków. Dziki były tak wybitnie stałe, że nigdy mniej nie otrapiało się, jak siedemdziesiąt.

Uważam, że, jak na posiadanie w tym czasie w całym lesie tylko 68-miu ha takich gąszczów, gdzie dziki mogłyby sobie robić legowiska — jest to ilość niewiarygodnie duża. Wyglądałaby ona może nawet na myśliwską blagę, gdyby nie świadectwo z ubicia zeszłej zimy dwudziestu sześciu w jednem pędzeniu dzików przy daniu — skrupulatnie liczonych — stu jedenastu kulowych strzałów!

Jeden z myśliwych w pędzeniu tem ubił osiem sztuk.



Projekt dyplomu myśliwskiego. Stanisław Siestrzeńcewicz.

Chociaż nie jest to tematem do skreślenia niniejszych słów kilku, jednak mimochodem dodam, że nie jakiemś specjalnem karmieniem do tego wyjątkowego zagęszczenia dzików doprowadziłem, bo przez ten cały wymieniony tu okres może razem zaledwie kilka koni w lesie rzuciłem, a tylko przez pilnowanie granic i przez umiarkowany odstrzał do tej ilości doszedłem. Dopiero zeszłego roku większe polowanie zrobiłem, a dawniej po parę sztuk rocznie pozwalałem tylko odstrzelić i to zawsze pierwszą wysuwającą się z gąszczu sztukę (zwykle idzie pierwsza locha) oszczędzając. — Po zeszłorocznem tak udanem polowaniu, tego roku dla powiększenia ilości dzików nie strzelaliśmy do żadnej sztuki.

Ale teraz wrócimy do zasadniczego tematu. Otóż, przyznam się otwarcie, że w chwili, gdy dziki postanowiłem spróbować u siebie rozmnożyć, bynajmniej nie kierowałem się chęcią zdobycia sobie dla lasu jakiejś przez nich ochrony — pojęcia o tem najmniejszego wtedy nie miałem — a o wypełnienie tylko łowiska tą tak ciekawą i miłą zwierzyną mi chodziło. W miarę dopiero przyrostu ilości dzików, a dalej w miarę obserwowania sposobu ich wyżywiania się, oczy powoli zaczęły mi się otwierać na to, jakim nieprawdopodobnie skutecznym obrońcą lasu jest to stworzenie.

Zasadniczo dzik nie lubi chodzić w pole i zawsze w latach większego nasilenia ilości larw w lesie automatycznie nawiedzanie pól ogranicza.

A teraz te okrzyczane, te znienawidzone, te rzekomo rujnujące rolnika szkody polne dzicze! Weźmy się spokojnie do kwestji i rozważmy ją rzeczowo.

Zwalczam szkody przez lat już tyle, przy tej tak przecież stosunkowo wielkiej ilości dzików, na dwóch parokilometrowej długości, do chłopskich pól przylegających granicach od nich się bronię.

Otóż zasadniczo: — dzik robi w polu dużą szkodę tylko w dwóch wypadkach — gdy zjada dopieroco zasadzone, przed wzejściem, ziemniaki, a dalej, gdy ryje jesienią oziminy po ziemniakach zasiane. To też, rzecz prosta, ten, komu należy, winien przez ten krótki czas na jesieni i jeszcze znacznie krótszy na wiosnę, pola pilnować i oganiać. — Teraz, jeżeli chodzi o dworskie pola, to szkody te większe ograniczają się tylko do wybierania sadzonek ziemniaków, gdyż folwarki tego rolniczego błędu — siewania żyta po kartoflach nie robią, a dziki już wiosną na jarzynach po ziemniakach wyrządzają szkody niewielkie. Wprawdzie pola takie zaraz po siewie czas jakiś są ryte, ale zwykle płytko, a trwa to zawsze — nie wiem dlaczego — stosunkowo krótko, tak, że pole takie przed wzejściem wyglądające okropnie, doskonale się potem zazieleni, wyrówna i pokrzewi. Wiele razy mi się zdarzało, że włościanin jakiś, tak, zdawałoby się, doszczętnie jarzynę zniszczoną, w dziewięćdziesięciu procentach uważał za straconą, a potem przy szacowaniu szkody przed żniwami, często żadnej, lub minimalną stratę dało się stwierdzić. Najwyżej rządki, przez przesunięcie przy ryciu ziarna, trochę się pokrzywią. Kiedy rośliny jare zaczynają być tej wielkości, że ryjem wywrócone nie mogłyby się korzonkami ziemi już uczepić — dziki ryć wtedy przestają.

Uśmiecham się mimowoli, gdy mi się przypomni, jak tego roku przeszedłem niedługo po zasianiu z kimś dobrze nawet na rolnictwie się znającym przez trzydziesto hektarowe pole mieszanki, pod samym właśnie lasem położone. Ani metra kwadratowego (dosłownie!) na całej powierzchni nie mogliśmy znaleźć niezrytego. — Towarzysz mój zdumiał się bardzo i zapytał, kiedy mam to teraz zamiar zorać. Wierzyć nie chciał, gdy mu powiedziałem, że tu będzie doskonałe zboże i że to płytkie zrycie nic prawie nie zaszkodzi. Muszę go teraz tam zawieźć i pokazać zwartą i doskonałą mieszankę! *).

W innych plonach polnych dziki właściwie prawie żadnej szkody nie robią, bo to, że trochę dojrzewających kłosów zjedzą, że trochę nieraz żyta podepcą, gdy sobie w niem legowisko później obierają, że czasami trzeba miejscami łąkę po nich pobronować i przywałować — to jest rzecz niewielka. Naturalnie, sterty ze zbożem pod lasem położone należy ogrodzić, jednak w ten sposób, by dziki dla zachęty mogły sobie trochę kłosów wyskubać. Większe skupiska kopców pod lasami trzeba pilnować, lub dziury w nich robione (dzik zwykle do tych samych miejsc w kopcach przychodzi) rano przykrywać.

Wogóle, zasadniczo — znacznieby się mniej o szkodach dziczych w polach mówiło, gdyby ci, co te szkody, wobec konieczności wynagradzania ich, oceniają, jedni — umiejętniej, inni — sprawiedliwiej się do oceny ich odnosili.

Przedewszystkiem uważam, że forma bezapelacyjnego właściwie rozstrzygania spraw tych przez t. zw. „Sąd Rozjemczy" jest w Ustawie Łowieckiej wielką luką, bo nieraz o zbyt tu duże sumy chodzi, by przysądzanie ich decydowaniu jednej osoby, jaką jest „przewodniczący" sądu rozjemczego, pozostawić.

Uważam, że pod szczególną uwagę trzeba Radzie Powiatowej Łowieckiej poddać sprawę wyboru nietylko już — rzecz prosta — kandydata na przewodniczącego sądu rozjemczego, ale i jego zastępców. Zdarzyło mi się raz, że, mając sprawę sądową, nie mogłem sam brać udziału w szacowaniu większych szkód na mojej granicy. Posłałem w zastępstwie mego rządcę. Nadomiar złego trzeba było jeszcze tego, że przewodniczący sądu rozjemczego, wójt miejscowej gminy — człowiek rozumny i sprawiedliwy, nie mógł być też obecny i przysłał swego „zastępcę", go-

*) Artykuł pisany przed zbiorami. (Przyp. red.).

spodarza małorolnego, człowieka nawet poczciwego, ale — wyrażając się niezbyt literacko... — fujarę skończoną. Skutek był taki, że poszkodowani, wyczuwając dwie słabe strony: brak mojej osobistej, zwykle stanowczej w tych wypadkach obrony, a dalej niezdecydowanie przeważającego głosu — „zastępcy" przewodniczącego, gdy mój rządca, powiedzmy, szacował szkodę na 10%, „przedstawiciel" przeciwnej strony na 90%. Poczciwa „fujara" przecinała to zawsze ze strachu na pół?! Pozatem szacowali niektóre pola tak, że wchodzono tylko na sam brzeg zboża i, nie widząc co jest dalej, określano procent zniszczenia.

Z tego wszystkiego przysądzono nieprawdopodobnie niewspółmierną z rzeczywistym stanem szkód sumę. Inna rzecz, że tylko przypadkiem, z pewnych specjalnych względów, udało mi się to potem odwojować.

Zatrzymałem się trochę dłużej na tym przykładzie, by uwypuklić to, jak trudno jest: — raz umieć się bronić przed żądaniem niesłusznego wynagrodzenia, a dalej, często przed nieumiejętnością, a nieraz i bardzo złą, demagogiczną wolą składu Sądu Rozjemczego uchronić. Gdyby nieraz zobowiązani do uiszczania odszkodowania i umiejętniej i kategoryczniej umieli istotną szkodę określić, a dalej, gdyby się odpowiednie jednostki na przewodniczących Sądu Rozjemczego wybierało, to szkody zmalałyby zaraz poprostu nieprawdopodobnie! Zastrzegam się, że bynajmniej nie jestem za krzywdzeniem poszkodowanych, przeciwnie — prawie wszystkie szkody u mnie załatwiam ostatniemi czasy z chłopami polubownie i przeto prawie nigdy już nie dochodzi do rozsądzania spraw tych przez Sąd Rozjemczy, ale uważam, że nie należy też przepłacać, bo wtedy poszkodowani, robiąc na tem interes, nigdy nie będą się starali szkodom przeciwdziałać. Uważam, że bezwzględnie od wyroku Sądu Rozjemczego powinno być odwołanie merytoryczne do Sądu Grodzkiego, a nie jak to jest dotychczas, że odwołać się można tylko wobec formalnego przekroczenia przez Sąd Rozjemczy niektórych paragrafów Ustawy Łowieckiej — do Sądu Okręgowego, który, często merytorycznie sprawy nie chcąc rozpatrywać, odsyła ją z powrotem do rozpatrzenia znów Sądowi Rozjemczemu. A w takim wypadku wyrok ten sam zapada!

Drugim środkiem, który znacznieby zmniejszył koszt wynagrodzenia szkód dziczych, to tam, gdzie one rzeczywiście są większe, jest stawianie nocnych stróżów. Od paru lat zastosowałem to u siebie. Dwóch ludzi chodzi całą noc na dwóch granicach. Uważam, że jeden człowiek, przechadzający się stale uczciwie, poczynając od pół godziny po zachodzie słońca, do godziny przed wschodem, na przestrzeni dwóch kilometrów, zupełnie uniemożliwia dzikom wychodzenie na tym odcinku w pole. Płacąc takiemu stróżowi 35 zł. miesięcznie i nakładając na niego materjalną odpowiedzialność za szkody, pozbyłem się zupełnie rycia dzików na chłopskich polach. Kosztuje mnie to kilkaset złotych rocznie, a zatem bez porównania mniej, niż dawniej, a co najważniejsze — mam teraz dobry i miły stosunek z dawnymi moimi wrogami.

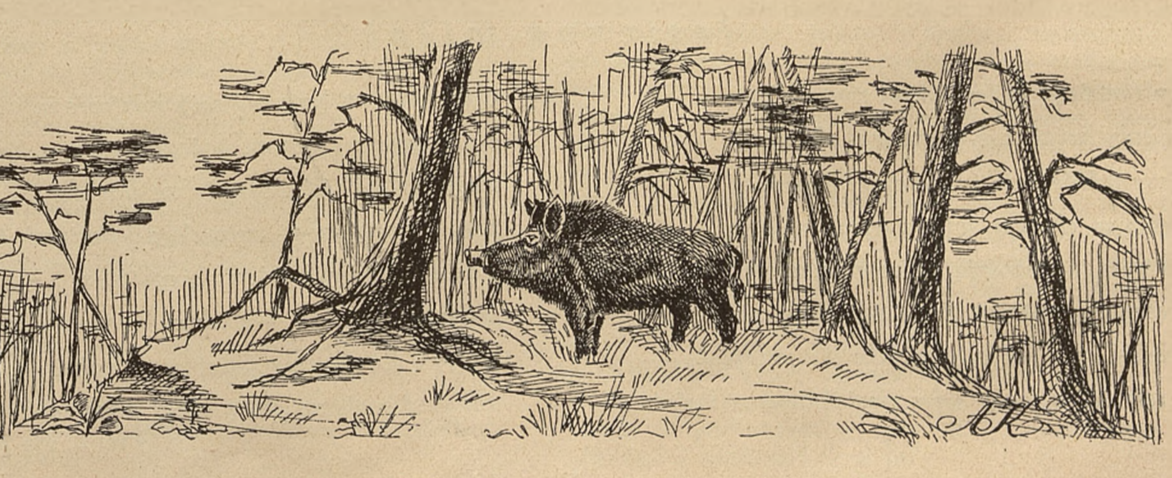
Naturalnie, sprawę tę, czy opłaca się postawić stróża, czy też nie, należy, biorąc pod uwagę doświadczenie w wysokości płacenia za szkody z lat ubiegłych, rozważyć. Rozumiem, że w większych obszarach rządowych leśnych, przy licznych nieraz enklawach polnych, sprawa ta jest znacznie trudniejsza, ale to też doświadczenie zdecyduje, czy wielkość danej enklawy i rozmiar szkód stróża opłaciłyby.

Powracając do nieumiejętności bronienia się od nieistotnych szkód w plonach polnych, przypomnę, że najczęściej straty te, jesienią przedewszystkiem w ziemniakach przepłacamy. Dzik, jak już zaznaczyłem, dla ziemniaków tylko dopóki te nie wzejdą jest groźny, no bo, jak zje sadzonki, to, rzecz prosta, nic tam nie będzie, ale dalej, szczęśliwie, kiedy kartofle już powschodzą, przestaje ryć aż do jesieni, to jest do czasu, kiedy bulwy zaczynają już dojrzewać. I stąd właśnie szkoda nigdy nie jest już tak, jakby się zdawało, duża, bo dzik bulw zjada bardzo mało, a tylko dużo na wierzch wyryje. To wygląda pozornie rozpaczliwie, ale proszę tylko dokładnie, biorąc odcinek niezniszczony, pewną ilość krzaków, a pod niemi kartofli policzyć, z takąż samą powierzchnią zniszczoną porównać, a zobaczymy, że ilość leżących na wierzchu kartofli niewiele będzie od ilości nieruszonych odbiegać. A wobec tego, że bulwy te są już dojrzałe, należy je zebrać. Pamiętajmy tylko o tem, że nieraz bywają one wyzbierane przed szacowaniem już szkody!...

Dalej często popełnia się ten błąd, że nie korzysta się z art. 63-go Ust. Łow., pozwalającego na odłożenie oszacowania szkody do żniw, gdyż, jak wspomniałem, do czasu tego pozornie olbrzymia szkoda zabliźnia się nieraz doskonale.

Ale zostawmy już ten przykry temat szkód dziczych, a zwróćmy się teraz do miłej nam tak strony tego stworzenia — do pożytku, jaki nam przynosi. Myślimy zawsze tylko o tem, jakie nam dzik w polu robi szkody, ale pomyślmy, ile też nam najrozmaitszych pasożytów, niszczących nasze plony, wyryje, ile nam pędraków wytaska, ile nam myszy zniszczy! Tak, proszę się nie śmiać! — bo nie wszyscy o tem wiedzą, że dzik specjalnie skutecznie myszy niszczy. U mnie w latach klęsk mysich dziki za myszami doły do metra głębokości buchtują. A jest to robota planowa i skuteczna, bo ryją tylko do nor z gniazdami. Nawiasem tylko wtrącę, że dziury te niezbyt znowu tak gęste — bo przecież nie w każdej mysiej dziurze, szczęśliwie... jest gniazdo — trzeba przed żniwami pozakopywać, bo inaczej można sobie żniwiarki na nich połamać.

A teraz pomyślmy o lasach naszych. Toż przecież, zasadniczo, temu zresztą nikt nie zaprzeczy, że dzik jest ich skuteczną przed rozmaitemi najgroźniejszemi szkodnikami ochroną. Ale niestety, bardzo wielu w najmniejszej nawet mierze nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia dziki mogą las od szkodników bronić.





Niejeden myśli sobie, że cóżby to za ilość tych stworzeń być musiała, żeby dopiero skutecznie las można było ochronić. Zupełnie błędne zapatrywanie! Nie zapominajmy, że dzik ma węch fenomenalny i tylko tam ryje, gdzie szkodnik napewno się znajduje. A ten, kto nie stykał się stale z dzikami, nie może sobie wyobrazić, jaką przestrzeń przez jedną noc kilka tylko sztuk dzików ze szkodliwych larw może oczyścić! Nie mówię już o mojej obecnej ilości dzików, gdzie las mój jest z nawiązką oczyszczony. Ale dawniej, przy znacznie mniejszej ich ilości, pojąć się poprostu nie chciało, jak niewielkie stadko mogło podobnie wielkie przestrzenie raz koło razu dokładnie przez jedną noc przewrócić.

A przedewszystkiem jakże miło jest właśnie widzieć tę celowość w buchtowaniu dzików. Często bliskiego ich legowisk drzewostanu w danym okresie nie ruszą nawet, a tegoż samego wieku, typu, porostu o identycznem podszyciu, znacznie dalszy rewir będą stale przez pewien czas nawiedzać, póki dokładnie wszystkich poczwarek nie wybiorą.

A teraz ośrodek całego mego co do użyteczności dzika zainteresowania. Lat temu kilka, kiedy jeszcze, jak wspomniałem, dzików miałem stosunkowo niewiele, w przylegającem leśnictwie państwowem pojawiła się sówka chojnówka. Czem jest ten szkodnik, o tem, rzecz prosta, wspominać nie mam potrzeby, bo każdy, kto się cokolwiek łowiectwem i przyrodą interesuje i pamięta przed niewielu laty te tysiące tu u nas na Pomorzu hektarów zniszczonych, nagich, przeraźliwie smutnych sosnowych przestrzeni i te miljonowe straty stąd powstałe — wie o tem doskonale.

W leśnictwie wspomnianem alarm powstaje okropny. Zarządza się grabienie dokładne na olbrzymich przestrzeniach w duże pryzmy, dla zniszczenia poczwarek, całej ściółki, wydaje się na to olbrzymie sumy, wspomnę dalej, że już z braku dalszych funduszów nie rozrzuca się z powrotem kup tych, co należy zawsze robić, by gleby pod lasem nie zubożać — a i to niezupełnie pomaga, gdyż drzewostany tracą dużo igieł, stąd dalej też i przyszły przyrost drzewa, a dalej i jakość materjału na tem cierpi.

A tymczasem, co się dzieje w moim obok, coś na dwukilometrowej granicy, przylegającym lesie. Poczciwe moje dziki zaczynają z łakomstwa szaleć! Na poczwarkach tak się tuczą, że kilka sztuk, w zimie potem ubitych, poprostu słoniną są obłożone. Nietylko że ściółki nie potrzebowałem grabić, co mnie od wydania olbrzymiej sumy uchroniło, ale przedewszystkiem drzewostany wyszły z tej okropnej inwazji zupełnie zwycięsko. Jakże miło było na żywą, zdrową barwę igliwia na sosnach patrzeć!

Ten kategoryczny, bezsprzeczny, tak bardzo wyrazisty przykład życiowy głównie przyczynił się do tego właśnie, że mimo nieprawdopodobnych walk, jakie dawniej, przed postawieniem stróżów, musiałem z okoliczną ludnością staczać, mimo rozgoryczenia, jakie dziki moje siały, mimo to, że z nieprawdopodobną ilością podpisów chłopskich, by mi przymusowe obławy zrobić, aż do Ministerstwa Rolnictwa memorjały były posyłane, mimo, że nawet przy mojem niecodziennem zamiłowaniu do myślistwa, byłem już tem wszystkiem poprostu zmęczony, wyczerpany i kto wie, czy na rozpędzenie dzików nie zdecydowany — zobaczywszy czem dzik może być dla lasu — postanowiłem za wszelką cenę zwierzę to w lesie mym w większej ilości utrzymać.

Apeluję do wszystkich, komu na dopomaganiu zachowania w pięknie odwiecznem praw mądrości Przyrody zależy, by wszelkiemi siłami starali się nie dopuścić do tego błędu, by ilość dzików w Polsce zbytnio umniejszać, a stąd tak wielką lasom naszym krzywdę wyrządzić! Szkody, jakie dzik robi w polach, nie stoją w żadnym stosunku do tego dobra, jakie lasom naszym daje!

Ochronę dzika powinno się, jeżeli nie do 1.X, to chociaż do 1.IX, to jest do czasu, kiedy warchlaki same dobrzeby już się mogły odchować — rozszerzyć.

Zeszłego roku, w pierwszych dniach lipca, kiedy, jak wiemy, dziki już strzelać jest teraz wolno, strażnik mój łowiecki obchodził, jak zwykle, najniebezpieczniejszą... dla dzików granicę. Słyszy gdzieś obok strzał bliski. Biegnie w tę stronę. Rozgląda się po polankach. Sprawcy strzału nigdzie jednak jakoś zobaczyć już nie może. Wchodzi w gąszcz. Patrzy — leży w krzakach drgająca jakaś szara masa. Podchodzi bliżej i widzi: leży olbrzymia locha, silnie farbująca, a do sutek jej sześcioro maleństwa się garnie i rozpycha...

W. K.

## *Jesienna miłość*

*Gdy ziemia w kwiecie stroi swe oblicze,*
*gdy cały świat, zaklęty w trel słowiczy,*
*pijany tchnieniem życiodajnej wiosny,*
*stugłosym chórem śpiewa hymn miłosny,*
*to w tym twórczością nasyconym szale*
*odrębnych pragnień nie odnajdziesz wcale!*
*Wszystko się spaja, wszystko się przeplata —*
*— zew serca łączy się z westchnieniem kwiatu...*

*

*Gdy jesień w barwne szaty wystrojona*
*z uśmiechem łzawym, pożegnalnym — kona,*
*wówczas Miłości staje się wcieleniem*
*potężny zew, co w sercu drga jeleniem!*
*Gdy zagrzmi ryk jelenia samotnika,*
*jesienny bezwład — widmo śmierci — znika.*
*Jedyna Miłość cały świat przesłania.*
*Jej głos zagłusza słaby szept konania.*

*W. L. von FALKENAU*

# FRONTEM DO SZAREJ KUROPATWY

Począwszy od 1 września sezon myśliwski znacznie się nasila. Do ptactwa błotnego, dzikich gołębi, cietrzewi itp. przybywa podstawowy objekt łowiecki w postaci kuropatwy, słowem—płodozmian. Dla wielu myśliwych, a zwłaszcza starszych wiekiem, owe kaczki, dubelty i bekasy, zamieszkując tak podagryczne żywioły, jak stawy i moczary — muszą być z konieczności skreślone z karnetu. Nie każdy może skakać, niby błędny ognik, po kępach, nie każdy decyduje się powierzyć swoje sto kilogramów żywej wagi jakowejś wywrotnej duszehubce. Tu trzebaby solidnej krypy, a nawet promu.

Tymczasem polowanie na „kury" jest ściśle kontynentalne i bezpieczne. Nie potrzebuję tłomaczyć, że dla myśliwego, który naogół szybko się poufali, „kura" — to szara kuropatwa. Ptak osiadły, poczciwy, przywiązany do swego zagona i „wysoce" jadalny. Ptak w pocie czoła swego grzebiący, aby znaleźć ziarnko w dzisiejszych trudnych czasach. Ptak tak łatwowierny i dobroduszny, że wiejscy chłopcy łowią go zimą na sidła, używając jako przynęty bylejakich plew zbożowych. Żałują mu przed śmiercią garstki pośladu, jakby potęgując swój niecny proceder dodatkowem oszustwem.

Polując na kuropatwę, spotykamy się—niestety, coraz rzadziej — i z jej „kuzynką - biedką" — przepiórką oraz z szybkobieżnym krętaczem - chróścielem.

Ze względów hodowlanych należy oszczędzać starki, które zresztą łatwo odróżnić od młodej generacji. Racjonalny myśliwy nigdy nie wytępi stada co do nogi, ale ograniczy się do odstrzału kilku sztuk. No i oczywiście nie należy strzelać do kur... cudzych. Stąd widać, że w tym wypadku etyka myśliwska w zupełności pokrywa się z nakazami dobrego chrześcijanina: szanuj starsze matrony, nie szerz lekkomyślnie spustoszeń wśród młódek („zielonek" szczególnie) i, jak nasz wieszcz Adam Mickiewicz powiada ustami Wojskiego — „nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny".

Strzelać należy celnie i co najważniejsza — przytomnie. Wszelkie gorączkowanie się prowadzi nietylko do pudeł, ale nadprogramowo grozi postrzeleniem towarzysza, naganiacza lub pastuszka, który lubi przyczaić się w kartoflach, lub pod wysoką miedzą. Wtedy na zapytanie małżonki: — A gdzie upolowana zwierzyna? — musielibyśmy odpowiedzieć pokutnie: — W szpitalu!

Łatwo może się zdarzyć na rozkładzie i poczciwa krówka, skubiąca trawę w zasięgu wyczynów myśliwskich. Prócz udręki moralnej i strachu przed widłami kmiotka lub jego połowicy, takie incydenty powodują znaczne koszty, nie dające się zazwyczaj rozłożyć na miesięczne raty.

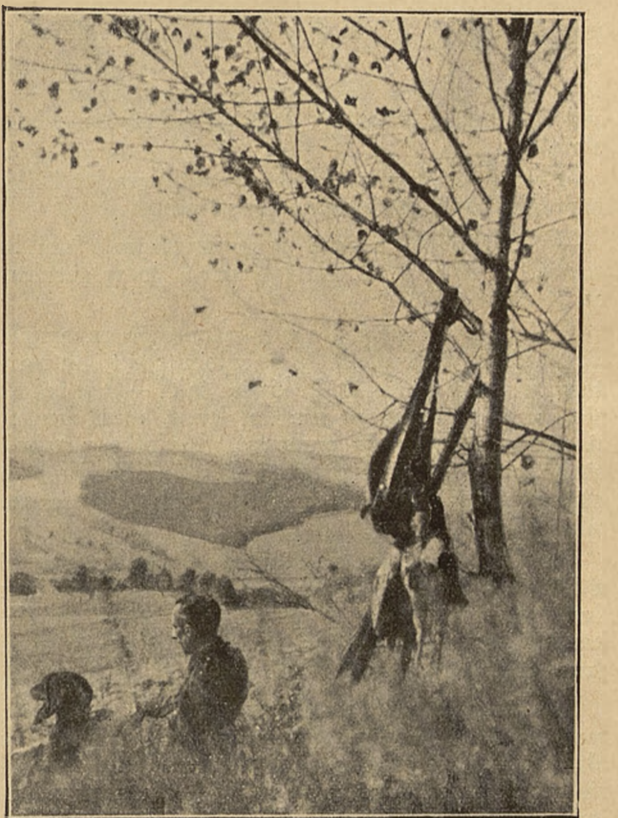
Mam jeszcze pewne wyrzuty sumienia co do tytułu niniejszej pogawędki: „Frontem do szarej kuropatwy" — hm... ale przypomnijmy sobie to hasło w zimową noc, kiedy zadymka bije w nasze okna zwałami śniegu, kiedy drzewa z hukiem pękają w stalowych szponach mrozu... Przypomnijmy sobie o tych biednych punkcikach na niezmierzonej bieli śnieżnej i wyciągnijmy do nich pomocną dłoń...

A więc poranek wrześniowy. Myśliwy otwiera prawe oko. Lewe jest dlań zbędne, bo strzelając i tak je przymyka. Funkcjonuje ono tedy z grubem opóźnieniem, niby kanon paryskiej mody, powiedzmy, w Pińsku. Czy dzień się zapowiada wogóle i czy aby będzie cichy i pogodny?

Cisza jest niezbędna poto, aby nietylko widzieć, ale i słyszeć swoje pudła, zaś pogoda — bo mokry myśliwy tyleż wart, co suchy rybak. Wyskakuje z łóżka, jak gazella, i puka w ociężały, dwulicowy barometr. Hm... niby pogoda murowana, ale możliwy i deszczyk lokalny.

Jazda!

I gdyby ktoś w pogodną niedzielę wrześniową ofiarował się i wstał z łóżka przed świtem, to łacno mógłby skonstatować, jak popularna jest „kura" w życiu myśliwego. Ze wszystkich punktów miasta wyrusza pośpiesznie brać św. Huberta przy użyciu wszelkich środków komunikacyjnych z wyjątkiem wózków dla niemowląt i — narazie — samolotów. A co za zdrowie tych nemrodów! Nieraz w duszy rodzi się troska, czy aby jakaś epidemijka w rodzaju śpiączki Heine-Medine'a?... Gdzietam... na polowanie zawsze i wszyscy stają do apelu — zarówno ząbkujący myśliwy, jak i stary wyga, co to zjadł zęby własne i wstawione. Wyrzuca poza burtę wszelki balast trosk i jedzie. Żeby choć zamiast strzelby częściej używał objektywu, żeby choć jeździł na łowy w towarzystwie pięknych pań, co jest nader emocjonujące, jednakże znakomicie przerzedza trofea...



Odpoczynek (Podkarpacie). Fot. Kpt. Szczepański.

Jesteśmy w terenie. Świat rozległy zasnuty jest zwiewną pajęczyną. W łagodnem jesiennem słońcu spłowiałe już ścierniska skrzą się brylancikami rosy. Jest w powietrzu jakowaś słodycz melancholji — jakgdybyś sylabizował klepsydrę swego najdokuczliwszego wierzyciela. Pachną kartofelki — wprawdzie nie pieczone, nie od spodu, tylko od biustów, zwanych „nacią". Coś w ich zardzewiałym gąszczu z odrętwiającą jednostajnością bzyka i bzyka: pasikonik, lajkonik, świerszcz, czy szarańcza? Bóg raczy wiedzieć!

Z bryczki wysiada p. Alfred z kuzynkiem Bodziem. Z westchnieniem, którego lżejszą połówkę poświęca pięknu natury, a drugą — destylat gatunkowo cięższy — właśnie Bodziowi. Naparł się bąk na kury i postawił na swojem przy protekcji ciotki, a małżonki p. Alfreda. Zwykłe lizusostwo. Lepiej byłoby „solo basso", wtedy pudeł nikt nie widzi i nie liczy. Nikt nie plącze się pod nogami — ergo nikogo się nie postrzeli. „Splendid isolation" — a tu?

Ale oddajmy głos samemu Bodziowi, który oczywiście pisze pamiętnik. Ma łobuz w dodatku cichą poprawkę z ojczystego języka i smaruje coś na temat „wrażenia wakacyjne", niemal ostatniego dnia wziął się do rzeczy:

„Już wrzesień — szlus z wakacjami. Pierwszego jeździłem z wujem Alfredem na kuropatwy. Wuj kręcił i nie chciał mnie ze sobą zabrać, ale ciocia kazała i wuj musiał. Rzadko, ale i starsi ludzie mogą się na coś przydać w społeczeństwie. Aby się tylko nie odmładzali. Wuj myślał, że zaśpię kuropatwy tak, jak lekcję łaciny, i z początku zły był okropnie. Tylko smalił papierosiska (takie z za stodoły) aż mnie zatykało. Strasznie człowiekowi szkodzi cudzy dym, choć już palę od dwóch lat. Mnie to nie poczęstował. Przesiadłem się na kozioł do Mikołaja, ale tu znów konie nie dały mi żyć. Mikołaj opowiada, że to od zielonej paszy i tylko tak „spozaranku". No—no! Wogóle dzień jest jakiś mdły i marchwiany, jak nasz profesor przyrody Majer. Słońce niby wzeszło, ale ot taki serek litewski, albo pudełko pasty, co to „jaśniej słońca". Do chrzanu!

Za Majdanem wuj trochę nabrał rezonu i zaczął pogwizdywać „Wieczorny dzwon", ale całkiem fałszywie.

— Jak myślisz, Mikołaju — pyta furmana — czy będzie pogoda, bo coś koguty w Majdanie bardzo pieją?

Mikołaj jest bardzo solidny facet, bywalec i filozof, więc machnął tylko batem i powiada:

— Ii... kogut, proszę pana dziedzica, lubi bałamucić, a dopiro jak mu łeb uciąć, to w garnku ma recht akuratnie.

Wuj ucieszył się i dla odmiany mnie zahaczył: — Czy wziąłeś to pudełko z nabojami, co stało na etażerce w moim gabinecie? Mówię „tak" — raz żeby wuj nie kazał zawrócić po nie do domu, a po drugie, że starszym nie wypada przeczyć. Pudełko z nabojami stoi sobie dalej na etażerce i, jak się okazało w praniu, wystarczyło i tych, które wuj miał przy sobie. Na takie rekordy!

Asik z punktu zrobił stójkę, jak tylko weszliśmy w kartofle. Zastygł, jakby połknął ze dwa kilo karuku i ani mru-mru. Widzę — wuj zbladł, nóżka mu się jakoś nie ciągnie, wkońcu jakimś nicianym głosikiem (zupełnie jak kuzynka Wiśka) pisnął: pyf!

Kuropatwy przestraszyły się — może pomyślały, że mają do czynienia z warjatem, i prrr!.... Wrzask, że aż złapałem się za czapkę. Wuj wystawił rurę tak, jakby się bronił przed kimś i rym-rym! — ale nie spadła ani jedna. Twarde są w tym roku pańskim.

Wuj był wściekły i kazał mi trzymać się zdaleka, bo — powiada — wypadki chodzą po ludziach. Powiedziałem mu w duchu do słuchu, że niech chodzą bokami i uważają na zakrętach.

Tymczasem Asik przepadł, jak kamfora. Patrzę — a on sobie poluje dla własnej przyjemności: co wystawi kurę, to mówi sobie do ucha „pyf" i spędza. Potem goni ją do upadłego, powraca i znów szuka. Za grosz moresu i etyki... alem go złapał po znajomości. Wuj sprawił mu lanie, wziął go na smycz i przywiązał ją sobie do pasa.

Idziemy dalej. Aż tu z boku prrr! nowe stado, jeszcze większe, niż poprzednie. Jak mój Asik nie skoczy, jak nie szarpnie... Zerwał wujowi z brzucha pas z nabojami i popędził z nim za stadem. Wuj palnął dwukrotnie w eter, stracił cenną równowagę i padł całą długością w kartofle. Ile te biedne ziemiopłody jednak ucierpią! Nie miałem czasu się przestraszyć, bo wuj zerwał się, jak oparzony pokrzywą, i rzucił się w pogoń za Asikiem. O la-la! Mówię państwu, że u nas talenty nietylko rodzą się, ale i giną na kamieniu. Wziąłby i Kusocińskiego i Nurmiego. Złapał Asika jak nic, a przecież piesek ma chyba charakter w nogach. Z pasa wypadło z pięć nabojów i oderwała się sprzączka.

Później zjedliśmy pod stertą śniadanie. Wuj nic nie mówił, sapał straszliwie i jadł gniewnie za trzech. Trzykrotnie znikał z przed mych oczu za stertą — zdaje się zdrowo sobie pociągał sznapsika. Dzięki temu i ja się napiłem wiśniówki z butelczyny zarezerwowanej uprzednio dla prywatnego użytku. Jednak instynkt towarzysko - spółdzielczy u wuja nieco szwankuje.

Dla odmiany powędrowaliśmy w buraki. Asik trochę się uspokoił — może wpłynęły na to sardynki w oliwie, bo jak tylko wuj otworzył pudełko i odstawił je na bok, aby poszukać talerzyka — to ten zaraz wsadził w nie swój nos i już nie wypadało mu przeszkadzać. Niech i biedna psina pozna środki przeczyszczające.

Pośród tafli buraków znajduje się jeziorko bezwodne. Asik w trawie powęszył, zatoczył parę kółek i stanął ślicznie z podniesioną łapką. Wuj jakoś nie miał ochoty iść — ociężał po śniadaniu i trzeba go łańcuchami ciągnąć, jak zdezolowany samochód. Znowu pyf! Ale Asik zaczął skakać, jak kangur czystej krwi, wreszcie puścił się galopem. My za nim. Znowuż wuj zdrowo pędził, krzycząc wciąż: — waruj, waruj! Wkońcu wyleciało coś czekoladowego, ale całkiem wolniutko. To wuj w biegu bach! i zabił. No-no, słusznie powiadają, że wódzia gubi narody, ale jednostki stawia na nogi. Ale cóż? Asik złapał derkacza — on to był bowiem — i w nogi.

Wuj uderzył w pokorę: — No daj, kochany piesku, daj panu... grzeczny Asik, grzeczny... i tak z pół godziny na różne głosy. Asik wkońcu się znudził i oddał derkacza. Długi, śledziowaty, ale podobno smaczny. Asik znowuż wziął lanie. Tak to jest na świecie: oddać — lanie, nie oddać — też lanie. Bądź tu mądry! Wcale się nie zdziwiłem, że Asik długi czas łaził wujowi za nogą, kichał, jadł trawę (pewnie dla kuracji) i nie chciał z nami wogóle gadać. Mimo to znalazł przepiórkę, którą już minęliśmy. Wuj strzela — przepiórka spada, a ten łobuz połyka ją momentalnie, jak ostrygę. Wziął baty — ściślej smycze — uciekł do bryczki, wlazł pod kozioł i już nie dał się stamtąd wyciągnąć.

Polowaliśmy sami. Ale pies — to mądry wynalazek. Bez Asika okazało się i smutniej, i gorzej, bo nic nie chciało wyfrunąć. Spudłował wprawdzie wuj do przepiórki, ale mi wytłomaczył, że gdyby trafił, toby ją rozbił na miazgę i że szkoda stworzenia boskiego, bo i tak włosi „biljonami" tępią owe przepiórki w czasie przelotów. Widać Mussolini lubi te ptaszki.

Po drodze do bryczki wydeptaliśmy stado kuropatw — wuj strzelił z obu luf i jedna spadła szczęśliwie.

Wuj się rozrzewnił i poczęstował mnie papierosem egipskim, ale prosił o sekret przed ciocią — i wogóle zawarliśmy sztamę. Mówiąc li tylko wręcz — z wuja niezgorszy facet — może jeszcze się wyrobi.

Przy obiedzie wuj był w świetnym humorze i ciągle w kółko opowiadał cioci i babci, jak świetnie strzelał (choć był niewyspany i ma wzrok osłabiony), powoływał się na mnie, mówił, że Asik jest do niczego, że albo nie mógł znaleźć zabitych kuropatw, albo je połykał, jak pulpety. Ale że — powiada — prawdziwy myśliwy nie dba o jakieś tam trofea, tylko o przyjemność. Może to i prawda, ale wujaszek tęgo buja, a tymczasem bujać — to my, a nie nas!..."

Tu kończy się reportaż naszego Bodzia.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

# GŁOŚNIK NAD LEŚNĄ

Zbliżała się połowa września. Pożółkły trawy i łozy na rozlewiskach Leśnej, a las przystroił się w dostojne fiolety gęsto porozrzucanego wrzosu.

Na leśniańskich błotach zawrzało. Ciągnęły czajki jedna za drugą, dymiły się kurenie, już o brzasku szła nieustanna palba na kaczych sadach, mieszając się z rozgłośnem brzęczeniem komarów.

Od czasu do czasu pohukiwanie miejscowych przewoźników zwiastowało przybycie nowego „ochotnika".

Aż przyjechał jeden taki, który oprócz pudełka z bronią, skrzynkę podłużną jeszcze dźwigał.

I jakoś więcej na tę skrzynkę zwracał uwagi, niż na sztucer, co lśnił blaskiem metalu wyświeconych luf.

Coś tam kręcił, majdrował, przysłuchiwał się.

Rybacy orzekli, że to pewnie taki „mahnit" (magnes), co jak nim posmarujesz lufy, to zwierz lepiej idzie.

Już w dni kilka wybrał się ten „panok" z Andrzejem Homelem na jelenia.

Do Szereszewskiej Puszczy poszli. Stary, zawołany „wabiarz" aż ręce zacierał z uciechy, przypominając sobie dawne czasy.

— Eh, lepiej nie wspominać.

Andrij niesie sztucer, „panok" skrzynkę dźwiga, drutów sobie pęk na ramieniu nakręcił i tak cichaczem, skradając się, szli do „Haławo bałota" na zasiadkę.

Już słońce opuściło się nisko.

Andrij posadził „panka" za gęstym jałowcem, sam odszedł kroków kilkanaście i rozpoczął koncert.

Basowe porykiwanie do złudzenia imitowało tęskny zew jelenia.

Minęło jednak dobre pół godziny, od czasu do czasu odpowiedział poryk krążącego w odległości byka, ale mimo Andrijowych wysiłków, byk „chwaroba", nie dawał się zmanić.

Zaklął szpetnie Andrijko i nuże jeszcze głośniej i tęskniej wabić, aż zdawało się, cały las napełnił się tęsknicą miłosnego zewu.

A że to jakoś nic z tego nie wychodziło, więc zaniepokojony Andrij zerknął na „panka", coż on na to powie.

A nasz „panok" siedzi sobie spokojnie, jakgdyby nigdy nic.

Ale później „cosik" zniecierpliwił się.

Patrzy Andrijko, a tu „panok" wstaje, druty od drzewa do drzewa zakłada, jeden drut do ziemi pcha, ze skrzynką łączy, coś pokręcił i czeka.

I Andrij przestał manić.

Uroki jakie, czy co, u czorta? — myśli stary i na wszelki wypadek przeżegnał się.

A kiedy w skrzynce zaczęło coś stukać i szeleścić, przestraszył się stary na dobre.

Raptem słyszy, a tu najprawdziwszy głos jeleni ze skrzynki wychodzi.

Spojrzał w prawo, w lewo, nigdzie jelenia nie widać, a tu, tuć-tuć, ot gdzieś pod bokiem wspaniały ryk jeleni słychać.

Dziwy! Włosy dęba staremu stanęły.

I już bojąc się na nogach iść, na czworakach zaczął pełznąć, żeby zobaczyć jak to i gdzie to „chitry" „panok" jelenia schował.

A „panok" siedzi uśmiechnięty i kiwa na Andrija i rękę na ustach kładzie, że to niby: sza!

Nagle w krzakach trzask jakiś. Jeden, drugi.

Aż donośny ryk oznajmił przybycie rywala.

„Panok" spokojnym ruchem podniósł sztucer do oka i wypalił.

I tu jeden jeleń „schowany" w „skrince" zalotnie porykuje, drugi jak „byk" leży o kilkanaście kroków, a Andrijem febra trzęsie.

— — — — — — — — — — — — —

Właśnie nadawane było słuchowisko z płyt, nagranych kiedyś na prawdziwem rykowisku i ten koncert „złapał" nad Leśną sławny nemrod — Dylewski, polując z Andrijem w Szereszewskiej Puszczy.

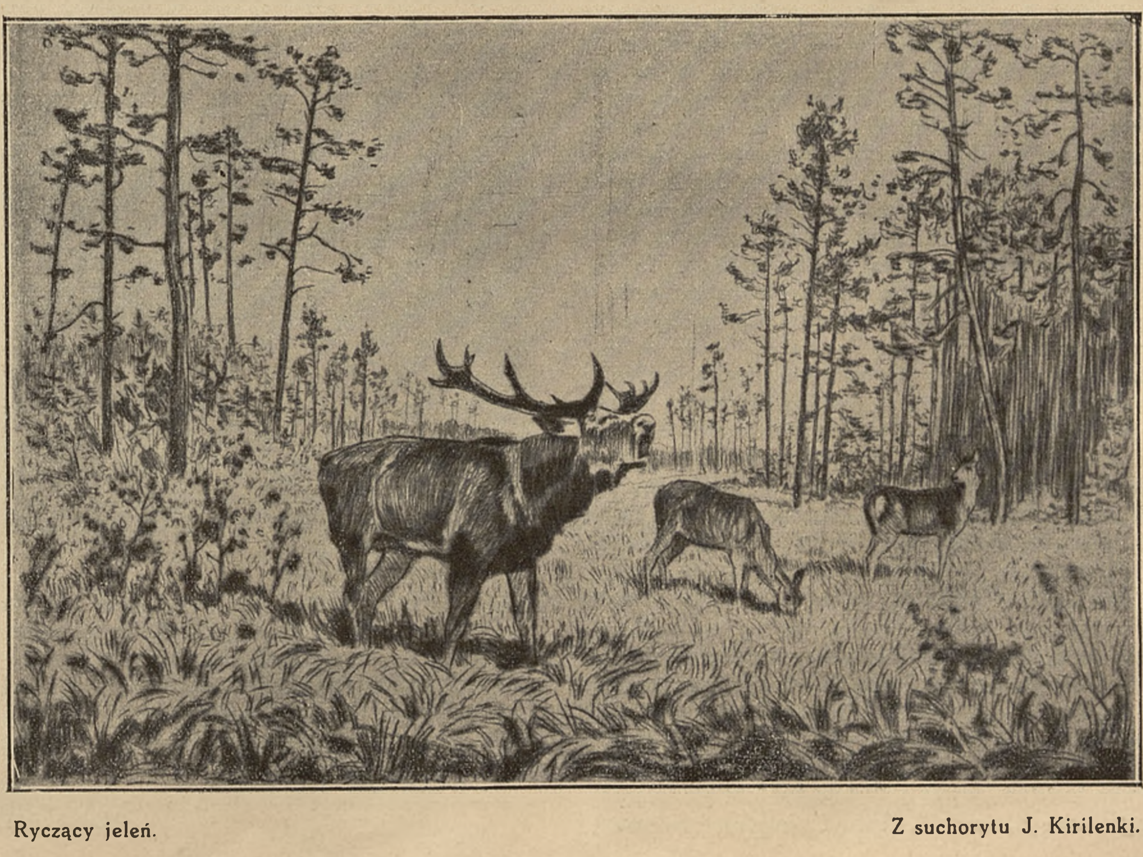
— — — — — — — — — — — — —

Andrij długo nie dał się przekonać, aż mu pan Dylewski musiał włożyć w głowę, że to właśnie tak „mahnitom" głos ciągnie zdaleka i że to nazywa się radio.

Ale mimo to, kiedy wspomniał Andrijko o zaczarowanej skrzynce, to żegnał się i, szepcąc poleskie zaklęcia od złych duchów i czarcich figlów, głośnym „Hospody pomyłuj" pokrywał zmieszanie:

Że taki skrinka lepiej wabiła od niego...

STANISŁAW PODGÓRSKI.



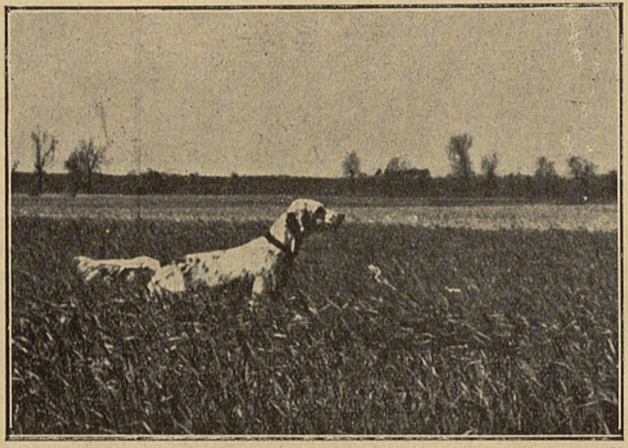
Ryczący jeleń. Z suchorytu J. Kirilenki.

# BEKASIKI

Śliczny, jak zawsze, artykuł w Nr. 15-16 „Łowca" lwowskiego, naszego utalentowanego kolegi L. Pac-Pomarnackiego, poświęcony bekasikowi, nasunął mi szereg wspomnień zamarłej już przeszłości. Chcę się też podzielić niektóremi spostrzeżeniami, dotyczącemi bytowania w półroczu zimowem tego miłego ptaszka.

O ile pamiętam, podczas srogiej na Ukrainie zimy 1907 roku — po Bożem Narodzeniu — meldują mi — a mrozy natenczas dochodziły do 25° R.:

„Jakiś dołhonosyje ptaszki, ma but' mołodeńki bekasiata" — porywają się na rozlewie nigdy nie zamarzającym, co wycieka z przepracowanych wód i płynów Andruszkowickiej cukrowni. „Można wsich wybyty, bo — kudy im dywaty sia (podziać się) — kiedy naokół do arszyna śniegu — jak mur twardego! — „No pane — czemuż ci bekasi nie odletyły w zamorskije kraja?!...



Beskid Ferwor Lord, setter ang. p. W. Stankiewicza, w stójce.

Zaciekawiony, niezwłocznie udałem się na miejsce z legawcem. Prawie że w Nowy Rok — na bekasy! Fenomen — krótko mówiąc. — Okazało się, że mające wysoką temperaturę fabryczne odpływy szeroko rozlały po wiklinach i łoźniakach małej łączki aż pod sam kompleks murów Andruszkowickiej cukrowni.

Zaledwie mój Trezor wstąpił na miękki „parujący" teren — stójka jak murowana! — Z wielkim trudem, charakterystycznym swym, motylkowatym lotem — zrywa się bekasik, a za nim jeszcze drugi cudny scolopax minor. — Po strzałach oba padają. — Podnoszę je! — Okazuje się, że — precz z sierpniowemi dubeltami! — Są to poprostu nie bekasiki, lecz grudki słoniny! — Żaden, na świecie „major" nie marzył nawet o perfekcji podobnego utuczenia! Kilka kroków dalej — zdobywam jeszcze jednego! Nie uszliśmy ½ kilometra, a już u boku mego gajusa Mosija „bełtało się" całych siedem sztuk, okazałych jeden w drugiego rekordowych bekasików.

Ponieważ jakaś para wykręciła na łączkę, zalaną ciepłym „badem" fabrycznym na jakieś wiorst parę jeszcze, postanowiłem „faire durer le plaisir". Zastanowiłem się!. Nierozsądnie byłoby pozostawiać na pewną zagładę miłe objekty! Czyż w stanie takiej opasłości przeleciałyby jednym zamachem przez całą Europę środkową, czy doleciałyby do południa Włoch czy innej Hiszpanji? — Wielki znak zapytania! Zresztą „krzywda" im się i tu nie dzieje — więc pocóż strzelać?

Tak, ale namiętność myśliwska! — niesamowitość spotkania! Skonstatowałem też, że ciepły, rozmokły „humus" aż roi się od różnych robaczków, więc nie wytrzymałem! Aż do końca stycznia 1907 r. dwa razy tygodniowo bywałem na błocie, śród lodów i śniegów. Z tej oazy za każdym swym pobytem brałem nie więcej niż jednego, dwa „tuczniki". Oprócz siedmiu upolowanych pierwszego dnia w tym okresie ubiłem jeszcze 15 — razem 22! Mea culpa!

Aliści — gdy pozostało ich tylko 5 czy 6 — żal mi się zrobiło i wstyd takiego wybijania niewinnych istotek, do naszych śniegów tulących się! A gdzież, tradycyjna nasza gościnność! — Jeździłem po opamiętaniu się dla kontroli — raz na tydzień. Nie ruszyły się bekasiki — aż do rzetelnych roztopów. Szkoda! — gdybym wiedział — zostawiłbym ich większą ilość w tym oryginalnym ukraińskim „zimowniku".

Pamiętam też zdumienie goszczących u mnie sąsiadów. „A dokąd to przy takich mrozach z psem się Hrabia wybiera? — „A no na bekasy!". „Na bekasy?" — z ubolewaniem kręcili głowami mili goście! Źle oczywiście z sąsiadem — jeszcze niestary, a już zramolał. Dopiero gdy wróciłem wieczorem z trofeami, zdębieli!

Usłyszałem nawet od pewnego laika: — „Biedne istotki, jak z biedy zmalały" — od głodu i mrozu pokurczyły się te bekasy! „Ależ kochany panie — krzywdy nie miały — słoniną obrosły". — „Prawda? No to następnym razem pojadę z panem — poznam te zimowe kszyki-liliputy!"

To też paru myśliwych przyłączyło się do mnie i „stuknęło" jakiegoś w metaliczne rajery ozdobionego bekasika!

Wogóle — jak słusznie mówi kolega Pac-Pomarnacki — bekasiki są znane chyba tylko przez elitę myśliwych-przyrodników! Zaiste — skromne to istotki. To nie bekas, co to „na kszyka" — naszybuje nad głowę! To nawet nie jak kamieniem siedzący dubelt! „Major" — zawsze choć kilka, kilkanaście metrów przeleci, a bekasik, ileż to razy „na oczach" zapadł! Piesek stoi, a on — niepodobna zoczyć!

Zupełną słuszność ma autor, że gastronomicznie bekasik jest specjałem, godnym samego Lukullusa! W czasie polowań na nie — miejscowe „hady" z politowaniem kręcili głowami. „Baczy! pany ne tylko bekasiw strelajut. Miesa z nich zawsze, choć „szmatok" jest — ale nawet worobiow (wróbelki) — wiadoma rzecz — pańska zabawa!" Jeden tylko stary gajowy — Pawło Zajczyk — zauważył filozoficznie: — „Oto — jakby podswynok w chlewie nabrałby takiego „sała" — to odrazu wyrósłby do rozmiarów osła!".



Stawy w Nieznanowicach. Fot. A. Piasecki.

Od tej pory rokrocznie „deptałem" za „minorami".

Tylko w odpowiednich zakątkach napotkać je można, lecz są tak skryte! Zimna się nie boją. Lecz odpowiednie pożywienie konieczne jest. Cechą to wszystkich egzotycznych gatunków, tropikalnych stref nawet. A w naszym ogrodzie zoologicznym małpiszony, lwy, lamparty, papugi?!

Brak pokarmu jest istotną przyczyną migracyj!...

ADAM RZEWUSKI.

# COŚ NIECOŚ O ROGACZACH W POZNAŃSKIEM

Sarna, to charakterystyczna zwierzyna dla województwa poznańskiego. Nie dziw więc, że sezon polowania na rogacze emocjonuje wszystkich naszych myśliwych, tem więcej, że, jak to mówią niemieccy myśliwi: „jest to jeleń skromnego myśliwego

Już przed rozpoczęciem czasu polowania wentyluje się wśród myśliwych kwestję „czy nasadziły dobrze", a w czasie dozwolonego odstrzału niemożna poprostu z myśliwymi o czem innem mówić, jak o tem, czy i ile kto rogaczy ubił i jakie trofea zdobył. Do tego stopnia opanowuje ten sympatyczny ludek szał rogaczowy, że trudno jest zdobyć paru myśliwych na polowanie na kaczki, każdy się tłomaczy, że to właściwie jego ulubione polowanie te kaczki, no, ale pan zrozumie, że teraz rogacze itd.

Jeżeli przejdziemy do tegorocznego sezonu i jego wyników, to trzeba powiedzieć, że wykazał on naogół przeciętność. Parostki tegoroczne nie pozostają w tyle za innemi latami, ale też nie wykazują nic specjalnego. Myśliwi nie mają prawa narzekać, ale też nie mają powodu zbytnio się cieszyć. Trofeów wybitnych nie zdobyto. Ilość napotykanych rogaczy dobra, normalna.

Naturalnie uwagi te na temat tegorocznego sezonu nie mogą sobie rościć pretensji do bezwzględnej ścisłości. Szalenie bowiem trudno tu zdobyć właściwe, ścisłe informacje, trzeba się rozpytywać, a nie dostaje się otwartej odpowiedzi; zachodzić do preparatorów, lecz oni na żądanie klijentów nie chcą trofeów pokazywać, zresztą wielu oprawia je domowym sposobem i to często najlepsze. Dochodzi do tego nawet, że wielu myśliwych nie posyła swoich trofeów na pokazy. Tłem tej psychozy rogaczowej jest u dzierżawców rewirów obawa, aby nie budzić w danym razie niezdrowych apetytów na swoje łowiska, a u właścicieli terenów łowieckich często obawa przed nieuzasadnionemi pretensjami do zaproszeń „na rogaczyka".

Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie poruszyć jeden z powodów, dla których nie może się u nas rozwijać odpowiednio hodowla w kierunku jakościowym. Poza różnemi powodami, jak np. brak w lasach tutejszych, przeważnie szpilkowych, odpowiedniego runa i podszytu, któreby dawały dobrą paszę, niechęć a często niemożność łożenia wydatków na odpowiednie dożywianie zwierzyny itd., jednym z najgłówniejszych powodów, odbierających z jednej strony chęć do bądź co bądź kosztownej i żmudnej pracy hodowlanej, a z drugiej strony unicestwiającym wszelkie zabiegi i usiłowania hodowlane są, niestety, bardzo liczni, jak ich nazywam, „mięsożerni" niby-myśliwi.

Dzisiejsza ustawa łowiecka, oddająca w zupełności losy polowań spółkowych w ręce zarządów tych spółek, prowadzi do tego, że polowania te, a specjalnie położone przy rewirach, w których się zwierzynę hoduje, nie mogą absolutnie dostać się w ręce racjonalnych myśliwych, ale nieomal z zasady opanowują je swoi, całkiem też swoistego autoramentu myśliwi, którzy wobec swoich umieją się „rozumieć na rzeczy", np. wydając byle komu pozwolenia na polowanie, tak potrzebne do uzyskania karty łowieckiej i pozwolenia na broń myśliwską. Myśliwym tym, przepraszam: strzelaczom marnego gatunku, wszystko jest jedno, czy to jest rogacz młody czy stary, czy hodowlany czy też odstrzałowy, czy szpiczak czy widłak lub szóstak, grunt u nich mięso, a jak nikt nie widzi, to i koza nie zawadzi. Naturalnie sposobami tych osobników są stałe zasiadki i to często nocne pod cudzemi lasami, wieczne polowanie nad obcą granicą, wysyłanie dzieci na podpatrywanie, aby potem na sygnał: „tata, tata, sior na polu" skoczyć na rower z dubeltówką na plecach. Resztę można sobie dośpiewać. Ja hodowałem rogacze, a sąsiad z małą enklawą mi je tłukł, ja łożyłem na bażanty, a sąsiad mi je wybijał na swojem wyschłem jeziorku.



Dobry 8-mak, ubity w czerwcu r. b. w maj. Krzywcza p. E. Bocheńskich (pow. Przemyśl) przez p. St. Rozwadowskiego.
Fot. ppłk. dypl. Wł. Rozwadowski.

Jak zwierzynie potrzebny jest spokój, przekonałem się dokładnie tego roku, polując w pasie granicznym i strefie nadgranicznej, w tej ostatniej naturalnie uzbrojony nietylko w sztucer, ale co główniejsze — w cyrograf Starostwa. Pola i lasy tu i tam położone należały do jednego i tego samego majątku, będącego z dawiendawna w wysokiej kulturze łowieckiej, rozporządzającego dobrą ochroną, a jednak w zachowaniu zwierzyny w tej chwili spostrzedz można było, że obostrzenia ruchu w strefie nadgranicznej dają jej znacznie większy spokój, a co zatem idzie pozbawiają jej płochliwości. Mimo, że i w pasie granicznym zwierzyna nie odznaczała się zbytnią płochliwością, to w strefie nadgranicznej, skrępowanej znacznie więcej przepisami ograniczającemi ruch, wykazywała wprost rozbrajające zaufanie. Dość powiedzieć, że nic nie było trudnego zjechać rogacza na czystem polu bez osłony, na 20 do 30 kroków, lub najechać w lasku tego samego rogacza, stojącego w małem zagajeniu, cztery razy z rzędu.

Co zaś może zdziałać niepokój np. sprawiany przez płeć powiedzmy nadobną, w każdym razie żeńską, zbierającą maliny, lub wycieczkowiczów, tego miałem przykład w innym lesie, gdzie o podejściu lub podjechaniu już nie rogacza, ale choćby tylko kozy, nie było prawie mowy. I co ciekawsze, że w tym spokojnym rewirze prawie nie widziało się innych sarn, jak tylko prowadzące dwoje młodych, a znowu w lesie niepokojonym ani jedna sarna nie miała dwojga koźląt, a stosunek rogaczy do kóz był lepszy właśnie w tym lesie niespokojnym.

S. M.

# Łowiectwo na „Jarmarku Poleskim"

**i wrażenia z pobytu w Pińsku.**

Wyraz Polesie ma tak wiele fascynującego uroku dla wszystkich, a tak olbrzymie budzi zainteresowanie wśród myśliwych, że tym ostatnim niezmiernie miło było dowiedzieć się, iż Prezes Poleskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Ordynat Dawidgródecki, Karol ks. Radziwiłł wraz z innymi członkami Rady podjął energiczną akcję już po roku swego „urzędowania" dla urządzenia w ramach III „Jarmarku Poleskiego" w Pińsku pawilonu łowieckiego, pokazu psów i strzelania do rzutków.

Jakkolwiek każdy początek jest trudny i to po części zawisło cieniem na obliczu wymienionych imprez, to jednak zgóry muszę zastrzedz, że wszelkie słowa krytyki czy żalu należy zwrócić przedewszystkiem w stronę ogółu polskich myśliwych.



Na Prypeci. Fot. Inż. T. Śledziński.

Może niezbyt ufano możliwości korzystnego przeprowadzenia dość szeroko zakreślonych imprez, może również obawiano się... Pińska pod względem kwaterunkowym i wogóle „cywilizacyjnym", dość że myśliwych przybyło na zjazd 28 sierpnia r. b. stosunkowo — jak na dzisiejsze warunki wielkiego zainteresowania szczęśliwem rozwiązaniem organizowania się polskiego łowiectwa — zbyt mało. W jednem z pism codziennych czytałem w sprawozdaniu, że zjazd wypadł świetnie, gdyż myśliwych naliczono... 200! Coprawda ja nie liczyłem, może więc nawet cyfra ta jest podana ze zbyt wielką rezerwą, to wiem jednak napewno, że, gdyby przyjechała tylko połowa myśliwych, którzy uśmiechy szczęśliwych wspomnień stąd wywieźli, polując na Polesiu, zjazd wypadłby rzeczywiście tak, jakby się można było spodziewać, a więc znacznie okazalej, bo frekwencja myśliwych musiałaby się wyrazić z pewnością liczbą czterocyfrową.

Jesteśmy niewdzięczni!..

Ale któż, działając ideowo, liczy na wdzięczność ludzką — tembardziej w łowiectwie?

To też Poleska Wojewódzka Rada Łowiecka, bez zapewnienia ze strony poleskich bywalców, że staną do apelu gremjalnie, by nagrodzić trudy i ulżyć kosztów z jej własnych i prywatnych kieszeni jej członków, dokonała dzieła łowieckiego, które ze wszech miar zasługuje na uwagę, zdumiewa kapitałem zapału i trudu, budzi jaknajlepsze nadzieje na przyszłość.

*

Pociąg mój zatrzymał się w Pińsku już po 2-ej w nocy. Udałem się wprost do biura kwaterunkowego, urzędującego na dworcu. Tam, ku memu przerażeniu, dowiedziałem się z początku, że hotele są przepełnione, kwater prywatnych zgłoszone są grube setki, ale prawie wszystkie zajęte, trochę jest jeszcze wolnych w domach żydowskich, które wogóle przeważają. Ergo — nocleg zapowiadał mi się niebardzo korzystnie. Widać jednak młodemu studentowi, który urzędował w kwaterunkowym kiosku „Jarmarku", przypadłem z powierzchowności do gustu, bo gdy wybieraliśmy już tylko adres noclegu, byle bliżej placu wystawowego, kwatermistrz nagle zapytał mnie, czy nie jestem jakimś delegatem. Właśnie jestem. Legitymuję się. No — i otrzymałem „z pod serca wyrwany" adres kwatery w mieszkaniu chrześcijańskiem. Podziękowałem, opłaciłem za 2 doby i wyszedłem.

— Ulica 84 Pułku Strzelców Nr. 74a — rzucam dorożkarzowi w uniformie, który powozi dziarskim koniem, zaprzężonym do wolancika „kresowego", właściwie do czegoś w rodzaju rosyjskiej „pierelotki", na gumowych balonach.

Już po drodze na kwaterę napotykam w mdłem oświetleniu rzadkich latarni elektrycznych (światłem alimentuje miasto elektrownia kolejowa) czerwone tabliczki w kształcie strzał, wskazujące przyjezdnym kierunek na „Jarmark".

Po piętnastu minutach jestem przed przeznaczonym mi domem, w miłym ogródku, w głębi od ulicy położonym. Ciemno, cisza — tylko zapalczywie ujada pies, nb. słyszę go z różnych stron domu — widać nieuwiązany, ale na szczęście tchórz, bo do mnie nie podbiega. Wkraczam na ganek, biorę za klamkę — drzwi otwarte. Zapalam zapałkę — drzwi na lewo i na prawo, a naprzeciw wejścia schody na piętro. Stukam na lewo — cisza; na prawo — odzywa się tubalny głos... Pytam — odpowiada — okazuje się: Pani mieszka na górze. Świecę sobie i wkraczam na schody, lecz oto już na spotkanie wysuwa się z jednych drzwi staruszka - służąca i oznajmia, że Pani zaraz wyjdzie.

W ciemnym szlafroku w kwiaty, z siatką na włosach, w pantoflach na bosych nogach, wychodzi Pani — witamy się zdaleka — wyjaśniam moje najście na dom. Z uśmiechem, miłym głosem i śpiewnym akcentem przyjmuje mnie gospodyni domu, zabiera z sobą bieliznę pościelową, świeczkę i ruszamy na dół, do tylnej części domu, gdzie kilka jest pokojów dla przyjezdnych gości. Pokoje duże, czyste, jakby świeżo odnowione, duże okna weneckie. Elektryczność, łazienka — dom skanalizowany.

Krótko trwa rozmowa podczas zaściełania łóżka, życzymy sobie dobrej nocy. Myję się i zasypiam. Było to o $3^1/_2$ rano; o 6-ej budzi mnie słońce, którego całe snopy wpadają przez wielkie okno; usiłuję spać do 7-ej, ale ostatecznie jestem, mimo zmęczenia drogą, zwyciężony przez poleskie słońce, zresztą rozbudza mnie zrozumiała ciekawość tego, co mam oglądać.

O wpół do dziewiątej siedzę już przy śniadaniu w najelegantszej w Pińsku restauracji - cukierni Gregorowicza i tam spotykam oboje Księstwa Radziwiłłów i poznaję szereg miejscowych myśliwych.

Książę - Prezes i trzej inni członkowie Wojewódzkiej Rady przybrani są od rana w reprezentacyjny strój łowiecki.

Zamieniamy kilka słów, poczem wycofuję się do wolnego stolika. Źle zrobiłem! Okazało się, że program łowiecki zaczął się już od rana. Panowie z Komitetu wkrótce odjechali gdzieś samochodami, z miasta przejechał obok powozem Komandor Zajączkowski — domyślam się, że na mszę św. do kościoła — wszak to niedziela. Koło 10-ej pojazdy te znów widzę jadące w odwrotnym kierunku i skręcające gdzieś w boczną ulicę.

Okazało się oto, że w sali Rady miejskiej miało miejsce uroczyste otwarcie zjazdu, poczem Komandor Zajączkowski (Wiceprezes Rady Wojewódzkiej) wygłosił referat na temat: „O stanie i możliwościach łowieckich na Polesiu". Nie mogę powiedzieć: — mea culpa — że na tem nie byłem... Poprostu nikt mi nie doręczył programu i nikt o tem nie powiadomił również ustnie. Szkoda!

Spacerowałem narazie i zwiedzałem potrosze miasto, poszedłem mostem aż za Pinę. Jest wspaniała pogoda — z mostu roztacza się charakterystyczny widok na łąki i błota bez kresu... Omotuje mnie serdeczna nić wspólnoty z tym krajobrazem, z tem miastem, ze spotykanymi od czasu do czasu Poleszukami w miejscowych ubiorach.

Czas na „Jarmark"...

Nikogo się nie pytam, „ciągnę własnym przemysłem", niechybnie trafiam dobrze, choć konstatuję, że to z głównej ul. Kościuszki — półtora kilometra. Jeszcze przed bramą wejściową zdaleka widzę bielejące na placu wystawowym pawilo-

lony — jest ich kilkanaście, prócz tego różne kioski, jako osobne stoiska — dużo zieleni i kwiecia.

Plac „Jarmarku" mieści się nad samym brzegiem Piny — jest tu bardzo ładnie: czysto, schludnie i nic nie razi. Zaraz za bramą mijam urząd pocztowy „Jarmarku", bezpośrednio potem zaczynam zwiedzanie.

Nie tu miejsce na opisywanie organizacji samego „Jarmarku", ani też wszystkich eksponatów, na które, prócz miejscowej produkcji przemysłu i rzemiosła, składają się także ciekawe eksponaty zamiejscowe, z różnych dzielnic Polski. W pawilonie rzemiosła zainteresowały mnie najbardziej kożuchy (świetne do polowania, lekkie) i specjalne myśliwskie obuwie— na błota i na wody poleskie... Wszystko tanie.

Nieco ku tyłowi placu, lecz w jego samym środku, odcina się ładnemi linjami kształtu pawilon łowiecki. Istotnie ten budynek udał się znakomicie. Jest inny, piękniejszy od pozostałych, robi wrażenie willi, lub pałacyka myśliwskiego. Podchodzę przed front. Po obu stronach schodków wejściowych witają mnie artystycznie wykonane rzeźby - bryły niedźwiedzia i dzika, nad wejściem frontowem umieszczona jest płaskorzeźba w metalu — stylizowana sarna w dość dziwnem przegięciu. Na zewnętrznych ścianach pawilonu umieszczono szereg ładnych, artystycznych obrazków, wykonanych kolorowem szkłem — coś w rodzaju witraży, choć niedosłownie *).

Wchodzę — pytam o kogoś z Komitetu. Narazie niema nikogo, panowie są gdzieś na placu. Pytam o katalog pokazu — niema! Wogóle niema katalogu. Nieliczne eksponaty posiadają karteczki z nazwiskami wytwórców (głównie fotografje p. J. Hołyńskiego i innych), zasadniczo trofea są... bezimienne. Od gajowych-woźnych dowiaduję się tylko, że oto ta sala, to eksponaty Hr. Pusłowskiego, ta druga — to Ordynacja Dawidgródecka.

Później różnemi drogami dowiedziałem się przyczyny tego wielkiego braku organizacyjnego. Poprostu niedopisali myśliwi-wystawcy, jak niedopisali, mojem zdaniem, myśliwi - zwiedzający, uczestnicy zjazdu. Z tego powodu Komitet miał skrupuły... Żeby nie wyglądało, że Ks. Radziwiłł i Hr. Pusłowski wystawili pawilon i urządzili pokaz poleskich trofeów tylko dla zadowolenia własnej ambicji... Ale zmuszeni byli pawilon zapełnić prawie wyłącznie swojemi eksponatami. Wspaniałe rzeczy. Rosochy łosie, te najlepsze, skóry niedźwiedzie, rysie i wilcze, łby tych drapieżników i dzicze, szable dzicze, wieńce jeleni i parostki rogaczy, wśród tych ostatnich sporo dziwolągów, pozatem ciekawe zrzuty łosia i rogacza, dużo ptactwa wypchanego, od najróżniejszych gatunków kaczek i innego ptactwa błotnego, kurowatych ze skrzekotem w 2-ch egzemplarzach, do drapieżników z orłem na czele. Kapitalnie był wypchany egzemplarz rozdrażnionego puhacza w ruchu ofensywnym. Ciekawa — wrona-albinos. Wogóle eksponaty trofeów były bardzo ciekawe i starannie, ze znajomością rzeczy spreparowane.

Zastanawiała czyjaś kolekcja (poza eksponatami wymienionych wystawców głównych), niezupełnie umiejętnie spreparowanych bataljonów, wystawiona na sprzedaż (bodaj po 20 zł. za sztukę), pod którą widniał napis: „Bataljony-bojowniki, ptaki spotykane tylko na Polesiu". Jakże można było taką blagę pozwolić wystawcy umieścić?!

Ja sam zabijałem bataljony wiosną na Podlasiu, tego roku również meldowano mi o ich tam obecności (wprawdzie nie co rok przylatują), zresztą wiadomo powszechnie, że brodziec ten zjawia się wiosną w różnych okolicach kraju, gniazduje, lub jest tylko przelotem, w każdym razie nie jest to gość wyłącznie Polesia, choć tam jest go najwięcej.

Zresztą pawilon łowiecki wewnątrz i od zewnątrz czyni jak najkorzystniejsze wrażenie. Wewnątrz — to główna zasługa dwóch ludzi. Zewnątrz — wszak kosztował 14 czy 16 tysięcy złotych i zdobić będzie „Jarmarki poleskie" przez długie lata. Kto finasował ten budynek — nie wiem dokładnie, lecz nietrudno się domyślić... W każdym razie jest to ważna zdobycz i placówka dla dorocznego popularyzowania znaczenia rodzimego łowiectwa.

Około południa spotkałem Księcia-Prezesa, wielu innych panów z Komitetu i przyjezdnych myśliwych. Odtąd było już wesoło, trzymaliśmy się gromadnie lub grupkami, snując się po „Jarmarku". A tłum po obiedzie i ku wieczorowi rósł ustawicznie. Zaczęło być wreszcie ciasno.

Z oficjalnych przedstawicieli poszczególnych województw spotkałem pp. Nadl. Cenkiera z Pszczyny i Dr. J. Podgórskiego z Katowic (Śląsk), Inż. T. Sroczyńskiego (M. T. Ł. Lwów), p. Hoszowskiego (Poznań), p. R. J. Starka (Nowogródek). Brak było na zjeździe oficjalnych przedstawicieli aż siedmiu województw: Pomorza, Wilna, Kielc, Białegostoku, Łucka, Łodzi, Lublina. Szkoda to podwójna: nie widzieli pierwszego wystąpienia łowiectwa poleskiego na „Jarmarku" w Pińsku, nie widzieli trudów organizacyjnych i tego wyraźnie rysującego się obrazu moralnej konsolidacji poleskich myśliwych, przeświadczonych o potrzebie i konieczności powszechnego zcementowania pracy ideowej i dążeń całego polskiego społeczeństwa myśliwskiego.



Bocian czarny (hajstra) na gnieździe.

W południe, stosownie do programu, zaczęło się strzelanie do rzutków. Prowizoryczny stand urządzony został na przeciwległym (prawym) brzegu Piny, wśród szczerego piachu, na tle zieloności dalekiej perspektywy błot i moczarów.

W rozmowie z członkami Komitetu wyczułem, że mają żal do braci myśliwych — i za zbyt małą ich frekwencję w dniu zjazdu wogóle i za brak wystawców na pokazie, wreszcie o to także na strzelnicy. O ile żal ten w dwóch pierwszych wypadkach był usprawiedliwiony, o tyle nie uzasadniało go nic na standzie. Tu raczej lepiej się stało, że nie przyjechali zawodnicy z innych dzielnic, że strzelało tylko dziesięciu miejscowych myśliwych. Bo choć były 3 maszyny do rozporządzenia, położono mały kwadrat z desek, jako stanowisko tylko dla jednego strzelającego. Zanim odstrzelano kolejno w dziesięciu po 50 rzutków, stanowiących ogłoszoną konkurencję, i powrócono na lewy brzeg Piny, wybiła godzina siedemnasta. Jakżeby w tych warunkach mogło strzelać znacznie więcej zawodników, skoro początek naznaczony był na godzinę 12-tą w południe? Wyniki były dość mierne, najlepszy zawodnik, p. Zaleski z okolic Brześcia n. B., miał trafnych zaledwie 62%; został nagrodzony przedmiotem, ufundowanym przez Karola ks. Radziwiłła; na dalszych miejscach — pp. Czarnecki, Szełućko i Nieniewski, otrzymali nagrody, ofiarowane przez Poleską Woj. Radę Łowiecką, wreszcie dalsi trzej zawodnicy do 7-go miejsca włącznie zdobyli żetony P. Z. Ł.

O godz. 18-ej odbyło się w pawilonie łowieckim rozdanie nagród przy odgłosie sygnału myśliwskiego; przemawiał Książę-Prezes, witając oficjalnych regionalnych przedstawicieli i zawodników.

Tegoż dnia na terenie „Jarmarku" odbył się pierwszy w Pińsku pokaz psów myśliwskich, wśród których górowały rasą i urodą Springer-spaniele z psiarni „Lwa" księżnej Izabelli Radziwiłłowej — było ich tam dziewięć ze sławnym szampionem, importem „Rollick'iem of Harting". Prócz tego było parę wyżłów: ostrowłosa suka i gryfon, dzikarz „Mały" p. J. Hołyńskiego, dwa gończaki, foksterriery i kilka przedstawicieli ras pokojowych.

Prócz tego atrakcją był przeniesiony na teren „Jarmarku" ogród zoologiczny w Pińsku, posiadający sporo ładnych okazów. Prócz młodych wilków w liczbie kilku, siedzących w jed-

---

*) Żałuję, że sprawozdania mego nie mogę zilustrować, lecz niestety, nie otrzymałem żadnych obiecanych do reprodukcji fotografij. (Przyp. aut.).

nej klatce z dużym siwym basiorem, widzieliśmy tam: młode lisy, borsuka, młode sarny, tchórze, wiewiórkę, kunę, popielicę, orły, myszołowy, puhacza, szereg przedstawicieli ptactwa wodnego i błotnego, wreszcie żółwie, żmije i zaskrońce. Zupełnie oswojone spacerowały pomiędzy publicznością żórawie i czaple, oraz bocian czarny.

Działy łowieckie były chętnie odwiedzane przez szerokie koła publiczności napływowej i miejscowej, budząc powszechne zainteresowanie i mnóstwo pytań na temat oglądanych trofeów i żywych zwierząt.

Poleskiej Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej należy się od świata myśliwskiego szczera wdzięczność za to pierwsze wystąpienie pokazowe, jakie w przyszłych latach z pewnością ukaże się w jeszcze świetniejszej szacie w każdym dziale, a drobne niedociągnięcia zostaną całkowicie usunięte. Należy mieć również nadzieję, że rodzinę myśliwską w następnym już roku reprezentować będą przynajmniej dziesięćkroć liczniejsze zastępy przybyłych na zjazd.

Uważam za wskazane podkreślić, że sam Pińsk prezentuje się zupełnie dobrze, a zwłaszcza jego zabytki i nowoczesne gmachy publiczne, znać w nim ład i widać myśl gospodarczą; kwatery są porządne i z gościnnością kresową chętnie oddawane, kuchnia zdrowa i dobra, a urozmaicona szeregiem gatunków doskonale przyrządzonych ryb.

Wieczorem odbyło się w jednym z lokali restauracyjnych zamknięte zebranie myśliwych, przybyłych na zjazd, na którem łącznie z paniami zgromadziło się przy gęsto ustawionych stołach przeszło 100 osób.

Rankiem, miast wracać koleją za ulgowym powrotnym biletem, który miałem w kieszeni, skorzystałem z uprzejmości jednego z myśliwych z Warszawy i udałem się z nim w drogę powrotną — nie bez żalu za Pińskiem — samochodem. Zatrzymywaliśmy się po drodze w jednym z terenów pod Brześciem n. B. w celu zasięgnięcia języka o zwierzynie. Wielkie kompleksy lasów „pełne" są dzików, sporo jest, jak wynikało z opowiadania leśniczego, cietrzewi, zupełnie niezły stan sarn, zajęcy i kuropatw. Kaczki, zawsze tu liczne, już trzeci rok niedopisały z powodu suszy i zaniku wskutek tego błot; nagradzają to cietrzewie. Zato kaczki zgromadzają się szybciej, niż corocznie na wielkich wodach i zasiedlają masowo rybołówstwa stawowe w bliższej i dalszej okolicy.

Nie mogę się powstrzymać, aby na zakończenie nie podnieść raz jeszcze wrodzonej gościnności kresowej. Gdy podjechałem samochodem po moje rzeczy na zajmowaną kwaterę, dostrzeżono nas z okien i gospodyni przybyła na ganeczek, aby wychodzącego pożegnać, życzyć dobrej drogi i podziękować... Wszakże nie było to w danych warunkach obowiązujące, a przecież widać leży we krwi mieszkańców naszych ziem wschodnich.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

# Broń strzela, ale „łoże trafia"

Jest to aforyzm (nie wiem dokładnie czyj), którego używa w swych publikacjach dość często jeden z nestorów naszego myślistwa, zarazem znawca broni i balistyki — gen. w st. sp. inż. Walery Maryański.

Ceniony ten autor i myśliwy używa tego aforyzmu najzupełniej słusznie. Zawsze go rozumiałem — raczej przeczuwałem, jeszcze go nie znając — d z i ś w i e m dokładnie, że w kolbie, w przykładzie, czy w łożu — jak kto chce — leży f i l o z o f j a t r a f i e n i a.

To „dziś", które wyżej podkreśliłem, sprowadza się do ostatnich dwóch lat dopiero. Dlaczego? Poprostu — jak to dziś wyrozumiewam — dlatego, że od najmłodszych lat używana przezemnie broń przypadkowo leżała mi doskonale. Najpierw strzelałem z broni ś. p. Ojca, potem któregoś z wujów, w zależności od tego, gdzie rzuciły mnie losy na wakacje. Zawsze partoliłem — ale czego mogłem od siebie wtedy wymagać?!...

Kiedyś, jako studentowi, zdarzyło mi się przez pół dnia strzelać z broni ś. p. Prezesa Zdzisława Rutkowskiego ze Szpetala. Była to „Greenerka" od pary. Przed południem (w K u t n o w s k i e m 1909 r.) zabiłem z innej pożyczonej strzelby 7 czy 8 kuropatw (sukę miałem doskonałą! — także pożyczoną), a po południu z tej Greenerki — 17 sztuk!

To mnie zastanowiło. Pan Rutkowski sam się tem zainteresował. Powiedział mi wieczorem: — Dobrze pan strzela, ale dlaczego gorzej z tamtej strzelby? Jeśli chodzi o skupienie śrutów, to z mojej, bardzo gęsto bijącej, jeszcze trudniej trafić...

I zaczął oglądać starą broń administratora majątku, z której wówczas zawsze strzelałem. Coś bardzo kiwał głową. Nazajutrz rano wypróbował ją do celu. Pokrycie znalazł znakomite. Ostatecznie powiedział mi tak:

— Panie Władysławie, pan będzie dobrze strzelał, ale niech pan sobie dobierze broń do swojej budowy. Kolba musi pasować, musi odpowiadać budowie strzelca.

Minęły lata. Zapomniałem o tem. Przyszła wojna światowa. Używałem od 1913 r. do 1915 r. własnej już szwedki „Husqvarna". Biła świetnie i ja strzelałem z niej dobrze, nawet bardzo dobrze. Zarekwirowali ją z przechowania w majątku pod Warszawą — Niemcy.

Mieszkając w okupacji austrjackiej, okazyjnie kupiłem od kogoś — komu nie pasowała — Sauerkę, trzy kółka... Służyła mi lat... 20! Biła świetnie. Byłem znanym (w swoich kołach prowincjonalnych: Lublin, a potem Mińsk Mazowiecki) „ptasznikiem". 85% trafionych, to było u mnie normalne, a na polowaniach zajęczych przekpiwano ze mnie, że dlatego zazwyczaj mam największy pokot, bo noszę bekieszę o bardzo długiej „sukni", więc zające mnie biorą za... babę. Wytrzymywałem to.

Na otwarciu strzelnicy rzutkowej w „Pocisku" w Rembertowie rozstrzeliwałem się w puli otwarcia jako 3-ci! Ciągle z tej seryjnej — bądź co bądź — Sauerki.

Obecnie od dwóch lat jej nie mam, zlikwidowałem ją z pewnych względów, taksamo jak psa... Ano, szewc bez butów chodzi.

*

Poco ta spowiedź? Otóż... dla Was — Czytelnicy. Inną historję w treści, ale zupełnie identyczną co do wniosków ostatecznych opowiedział mi Dr. G., znany szerokiemu ogółowi myśliwy z Warszawy, świetny strzelec. I on dopiero przypomniał mi pogląd ś. p. Prezesa Rutkowskiego. Dr. G. całe lata męczył się ze świetnym Purdey'em, sprzedając swą wypróbowaną starą Pirlette'kę komuś, któremu oczywiście za Purdey'a dopłacił. I... umarł w butach, jak to mówią w Warszawie. Już nie mówiono o Dr. G., że... „to jest ten sam kocioł, w którym Dr. G. spudłował jednego zająca". Dr. G. p u d ł o w a ł od tej pory znacznie częściej.

Aż wreszcie... dorobił mu w ł a ś c i w e ł o ż e do Purdey'a Bronisław Kuliński. To trwa dopiero dwa lata. Dr. G. odzyskał swą formę i klasę.

Kiedy wysłuchałem tego opowiadania — a przecież wiem oddawna, że Dr. G., jest m y ś l i w y m i strzelcem pierwszej klasy — powiedziałem:

— Doktorze, pójdźmy do tego Kulińskiego. Coś o nim już słyszałem, widziałem jego eksponaty na wystawach, ale dziennikarz nie ma czasu zajmować się tematem „pobocznym". Teraz mnie to b a r d z o zainteresowało. Już nie dla mnie — dla innych — dla tych, k t ó r z y n i e w i e d z ą, ż e m o g ą l e p i e j s t r z e l a ć.

*

Nowoczesna kamienica na Powiślu, w okolicy Czerniakowskiej. Ładne mieszkanie. Z przedpokoju wchodzimy do w a r s z t a t u, który robi wrażenie prawie że „gabinetu myśliwskiego". Mały warsztacik, ładnie wygląda — obok stolik pomocniczy — to są m e b l e, pomimo „śrubsztaków" i innych przyrządów umieszczonych na nich, które wyglądają, jak... cacka. W rogu pokoju stoi coś w rodzaju stalug okręcanych na swej osi, na tem spoczywa sześć rozmaitych broni: śrutówek i sztucerów. W innym rogu etażerka z szeregiem półek, na których leżą surowe (nieobrobione) kawałki pięknych orzechów na łoża.

Proszę gospodarza o wywiad — właściwie o „wykład".

I p. Kuliński z całą uprzejmością pokazuje mi strzelbę-gołębiarkę o łożu, w którem znajduje się szereg śrub, wpuszczonych w drzewo, poruszających oddzielne części tej dziwnej kolby. Odpowiednim kluczem nastawia się je, rozsuwając czy odsuwając w boki lub w górę i dół różne części łoża. W ten sposób mistrz dopasowuje kolbę do budowy ciała strzelca. Ale na tem nie koniec. Gdy właściwe wymiary są ustabilizowane, strzelbę wkłada się w rodzaj ramy drewnianej, umocowuje się ją poziomo i odczytuje na odpowiednich podziałkach w m/m wymiary tych przesunięć części kolby, których dokonano śrubami, dopasowując strzelbę tak, aby „leżała" niezawodnie. I już przy robocie łoża lub korygowaniu dawnego nie może być omyłki. Widziałem najdziwaczniejsze wygięcia różnych łóż, nawet od sztucera, którym można strzelać z prawego ramienia lewem okiem.

Teraz już wszystko rozumiem!

„Broń strzela, ale łoże trafia"!...

Bronisława Kulińskiego, mistrza-wytwórcy i korektora indywidualnych kolb myśliwskich są klijentami najpierwszorzędniejsi strzelcy kulowi i śrutowi z całej Polski. Dobrze, żeby o tem i ta szara brać wiedziała, która — zmuszona okolicznościami, w gruncie rzeczy nieświadoma — „patałaszy" całe życie.

To nie są sumy, to nie są wcale wielkie wydatki w stosunku do tego, ile przepaskudzamy pieniędzy na polowania, z wyników których nie jesteśmy zadowoleni.

Nie będę opisywał „wywiadu" z mistrzem Kulińskim. Nie będę namawiał nikogo do wejścia z nim w stałe, niezawodne stosunki.

Poprostu powiem: jestem zachwycony!

„Mam swoje lata", jak to się mówi, strzelałem dużo i z rozmaitej broni, lecz przeważnie zawsze „coś mi nie dogadzało".

Wiem dopiero odniedawna, że to niedopasowane do mojej budowy łoże strzelby.

Owszem — ludzie mniej więcej normalni, kupując broń w pierwszym lepszym magazynie broniowym, gdzie „znają się na tych rzeczach" — strzelają „na piątkę". Ale — śmiem tak daleko pójść w moich konkluzjach — to są sytuacje przypadku.

Natomiast pozwalam sobie twierdzić, że kto chce dobrze trafiać, musi mieć odpowiednio przystosowane do swej budowy łoże strzelby... Ale nie każdy magazyn potrafi spostrzedz, uchwycić i wykonać.

Nie będę szczegółowo opisywać tego, co jeszcze widziałem w „zakładzie" p. Kulińskiego — ani przyrządów, niezwykle precyzyjnie wykonanych (sam, osobiście je stwarza), ani zrozumiałej przezemnie niezawodności jego matematycznych obliczeń, skojarzonych z umiejętnością „rozgryzienia psychologji myśliwego" — toby zajęło zbyt dużo miejsca.

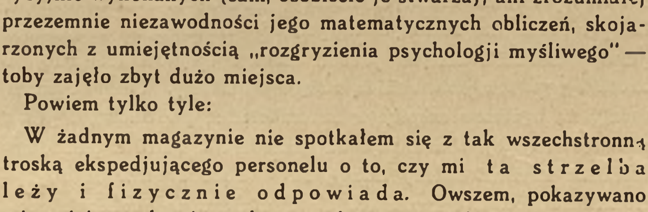
Powiem tylko tyle:

W żadnym magazynie nie spotkałem się z tak wszechstronną troską ekspedjującego personelu o to, czy mi ta strzelba leży i fizycznie odpowiada. Owszem, pokazywano mi z niej rewelacyjne arkusze pokrycia — polegano (widać) na mojej własnej orjentacji w przymiarach broni — i nic więcej.

Koledzy myśliwi! Tę Wam jedną radę dać mogę:

— Dopasowujcie łoże strzelby do budowy swego ciała.

WŁ. Z.




Państwowe Muzeum Zoologiczne w Warszawie wydało ostatnio dwa dalsze zeszyty *Acta Ornithologica Musei Zoologici Polonici* t. II.

Jako zeszyt 16, ukazała się praca niezmordowanego przyrodnika-myśliwego, p. Leopolda Pac-Pomarnackiego, p. t. *„Materjały do rozmieszczenia pardwy w Polsce"*. Z pracy tej, opartej na sumiennie przeprowadzonych badaniach przez autora, dowiadujemy się, że pardwa znajduje się dziś w 51 miejscowościach, zaś ilostan tego ptaka przedstawia się cyfrą 2729 sztuk w 256 stadkach.

Autor na wstępie pisze, że praca jego oparta jest na kwestjonarjuszu, rozesłanym w 1935 r. przez Sekcję Ochrony Pardwy przy Tow. Łow. Ziem Wschodnich w Wilnie. Dalej autor zaznacza, że kwestjonarjusz ten nie został należycie wypełniony, że cały szereg powiatów nie nadesłał żadnych wiadomości o ilości pardw, mimo iż wiadomo z całą pewnością, że tam się te ptaki znajdują.

Niemniej praca p. Pac-Pomarnackiego daje nam, pobieżny wprawdzie, rzut oka na stan pardw w Polsce. Sumienność autora pozwala sądzić, że rozpoczęte badania doprowadzi z pewnością do końca i że rozpoczętą pracę będzie kontynuować dalej.

Ilość pardw, znajdujących się na terenie Polski, na podstawie pracy p. Pac-Pomarnackiego przedstawia się następująco: pow. dziśnieński 1176 sztuk, pow. wileński 753, postawski 640, mołodeczański 80, brasławski 42, święciański 28; razem 2729 sztuk. Południową granicą zasięgu pardwy w Polsce jest linja kolejowa: Zawiasy — Wilno — Nowa Wilejka — Mołodeczno — Olechnowicze. Zasięg pardwy w Polsce pokrywa się z zasięgiem krzewu błotnego bażyny *(Empetrum nigrum* L), którego jagody są ulubionym pokarmem pardw.

Z zestawienia zawartego w pracy p. Pac - Pomarnackiego wynika, że ilość pardw zanika w 14 miejscowościach, powiększa się w 16 miejscowościach, zaś w 21 pozostaje bez zmian. Sądzić więc można, że przy wzmożonej ochronie będzie można utrzymać tego ptaka w stanie przynajmniej dzisiejszym.

*

Jako zeszyt 17, ukazała się praca dr. Andrzeja Dunajewskiego p. t. *„Badania nad ptakami Wołynia"*.

Wprawdzie autor na wstępie powołuje się na informacje i prace innych, niemniej stwierdzić muszę, że praca jego opiera się na podstawie jego osobistych badań, przeprowadzonych w okolicy Dolska (pow. Kowel).

Z sumiennością prawdziwego miłośnika przyrody opracował autor ptaki Wołynia. Z jego to pracy wynika, że na terenie Wołynia żyje około 264 gatunków.

Ze swej strony dodam ciekawy szczegół, zaobserwowany na Wołyniu. Otóż na stawie rybnym w Iwaniu (pow. Dubno) istnieje kolonja czapli. Czaple gnieżdżą się na ziemi, w trzcinach. Jest to bardzo rzadko spotykany wypadek gnieżdżenia się czapli na ziemi. Autor o tem w pracy swej nie wspomina.

Wołyń, jako teren dla badaczy ornitofauny, jest niezmiernie ciekawy, tu bowiem styka się fauna charakterystyczna dla tajgi z fauną stepów południowych. Tu spotykamy pliszkę górską, jako przedstawiciela fauny górskiej; obok głuszca i dropia widzimy więc olbrzymią różnorodność gatunków, szkoda więc, że ciekawym tym terenem do tej pory zainteresowało się tak mało badaczy.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

*

Jesteśmy proszeni o zakomunikowanie zainteresowanym Powiatowym Radom Łowieckim, że dzięki inicjatywie Powiatowej Rady Łowieckiej w Gorlicach ukazały się w druku: „Wskazówki obowiązujące myśliwych na polowaniach".

Jest to wydawnictwo na kartonie składanym 10 x 14,5 cm., obejmujące cztery strony druku, z których pierwsza tytułowa, trzy następne zaś — treści.

Wskazówki w treści podzielone są na cztery działy, zatytułowane: I. Ogólne; II. Bezpieczeństwo; III. Zwierzyna; IV. Broń. Treść zakończona jest uwagą, iż „Wskazówki niniejsze są ugruntowane na własnem doświadczeniu i miejscowych zwyczajach, są również oparte na podobnych drukowanych publikacjach".

Powiatowa Rada Łowiecka w Gorlicach wydane przez siebie wskazówki rozdała bezpłatnie myśliwym powiatu gorlickiego, myśliwym innych powiatów, względnie Powiatowym Radom Łowieckim, sprzedawane są w cenie zł. 0.35. Ewentualny dochód z rozsprzedaży przeznaczony jest na cele łowieckie w powiecie gorlickim.

Wskazówki będą do zakupienia również w Administracji „Łowca Polskiego". Wydawnictwo to zasługuje na szersze poparcie.

WŁ. Z.

# Z PRASY ZAGRANICZNEJ

## WILD UND HUND

N. 19/1938, str. 297. *Choroba pyska i racic (pryszczyca) nie jest dla zwierzyny zaraźliwa".* — Wobec dużego rozpowszechnienia pryszczycy wśród zwierząt domowych zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, ciekawą jest następująca próba, dokonana przez p. F. G., niemieckiego ziemianina. „W dn. 3 lipca r. b. wybuchła wśród moich owiec choroba pyska i racic. Będąc w posiadaniu koźlęcia sarniego w wieku 6 tygodni, wprowadziłem je do owczarni, a nadto zaszczepiłem mu ślinę i ropę chorych owiec. Ponieważ w ciągu 3 dni nie ujawniły się żadne objawy chorobowe, wziąłem ślinę chorych na pryszczycę krów i natarłem nią pysk koźlęcia, karmiąc je równocześnie mlekiem surowem tychże chorych krów. Żadne objawy chorobowe w postaci czy to okulawienia, czy trudności w przyjmowaniu pokarmu, u sarnięcia zauważone nie zostały. W ciągu 4 tygodni sarnię podwoiło wagę i zachowało swą ruchliwość i rzeźwość. Całkowicie zadowalający stan zdrowia i brak jakichkolwiek śladów choroby potwierdzone zostały przez weterynarza".

Nr. 20/1938 str. 323. Dr. A. Sokołowski *„Uwłosienie zająca ze stanowiska fizjologji".* Bezbronność zająca wobec drapieżników zmusza go do szukania wszelakich sposobów zabezpieczenia się przed niemi. Jednym z takich sposobów jest przystosowanie barwy uwłosienia do otoczenia, a że rozpowszechnienie zająca jest bardzo duże, przeto i zabarwienie uwłosienia musi ulegać znacznym zmianom, aby możliwie zlać się z tłem otoczenia. Uwłosienie zająca składa się z miękkiego puchu (turzycy) oraz z sierści. Właśnie sierść stanowi o zabarwieniu zająca, będąc szara u spodu, ciemnobronzowa w środku i rdzawo-żółta przy końcu. Przewaga tego czy innego koloru nad pozostałemi powoduje zmiany w zabarwieniu uwłosienia, pozwalające na przystosowanie się do tła. To właśnie sprawia, że zając polny jest jaśniejszy, niż leśny, że latem zające są bardziej żółte, a zimą bardziej szare, że zające z okolic południowych różnią się bardziej jasnem uwłosieniem od zajęcy z północy. Krańcowe przystosowanie futra do otoczenia widzimy u zajęcy - bielaków, otrzymujących na zimę sierść białą.

N16/1938 str. 254 *Rozdrabnianie kasztanów.* — Kasztany stanowią doskonałą pożywkę dla jeleni. Wysuszone kasztany są jednak zbyt twarde i rozsypywane w całości nie są przez jelenie brane aż do czasu, kiedy pod wpływem wilgoci zmiękną. Wówczas jednak zachodzi niebezpieczeństwo porażenia ich pleśnią, co jest dla zwierzyny szkodliwe. Należy przeto kasztany przed zadaniem ich zwierzynie rozdrabniać, dzieląc je jednak nie więcej, niż na 2—3 części. Zbyt drobno posiekane kasztany marnują się bowiem w piasku, zaś zadawane w korytach — ulegają psuciu się w kątach koryt, skąd je trudno wydostać. Aby basztany nadmiernie nie wysychały, należy je po zebraniu przechowywać w piasku, podobnie jak żołędzie, buczynę i t. p.

## DER DEUTSCHE JAEGER

N16/1938 str. 249 Prof. F. Schaider *„Drapieżniki, jako policja sanitarna".* — Rzeczą powszechnie dziś uznaną jest prawda, iż każde stworzenie osiąga pełni swoich sił jedynie w warunkach wolnej walki o byt. W walce tej giną osobniki słabsze, mniej przystosowane do warunków życia, ustępując osobnikom silniejszym, które cechy swoje przekazują potomstwu, utrwalając rasę. Wychodząc z tego właśnie założenia, nowoczesne łowiectwo uważa drapieżniki za czynnik niezbędny w łowisku, gdyż przez zdobywanie na żer przedewszystkiem zwierzyny słabszej lub chorej przeprowadzają drapieżniki naturalną selekcję zwierzyny na rzecz osobników silnych i zdrowych. Oczywiście ilość drapieżników w łowiskach musi być utrzymywana w pewnym stosunku do zwierzostanu, w stosunku nie zagrażającym całkowitemu jego wyniszczeniu. Ale pod tym względem granice dopuszczalne są bardzo rozległe. Znany węgierski pisarz łowiecki, E. Bethlensalvy, przytacza przykład, iż w pewnem łowisku na Węgrzech, mierzącem 10 tys. ha i przeznaczonem specjalnie dla polowań par force na lisy, lisy były otaczane specjalną opieką, zaś znajdujące się w tym terenie zające i kuropatwy nie były strzelane, mając służyć dla lisów, jako pokarm. Po upływie kilku lat ilostan zarówno lisów, jak ich rzekomych ofiar, zajęcy i kur, wzrósł w stopniu, niespotykanym w żadnym z krajów sąsiednich.

Natomiast mylnem jest dość rozpowszechnione twierdzenie, że drapieżniki pełnią w łowiskach służbę sanitarną, zjadając zwierzynę padłą na choroby zakaźne. Żadne badania nie potwierdziły przypuszczenia, że wszystkie drobnoustroje, będące źródłem zarazy, giną podczas procesu trawienia w żołądku i w kiszkach drapieżnika. Bardziej prawdopodobną jest okoliczność, że tak właśnie nie jest i że wypróżnienia drapieżników mogą powodować przeniesienie zarazy dalej. Jedynie skutecznym sposobem unieszkodliwienia padłej na chorobę zakaźną zwierzyny jest pozostawienie jej naturalnemu procesowi gnicia i rozkładu. Bakterje bowiem gnilne łącznie z larwami much i żuków rozwijają w ciele padłego zwierzęcia tak energiczną działalność, że już w krótkim czasie wszystkie drobnoustroje zakaźne giną i szczątki tracą całkowicie właściwości zaraźliwe. Dbały o stan swego łowiska hodowca powinien w okresie zauważonej zarazy przeszukiwać z psem starannie cały teren i znalezione padło pokropić naftą, lizolem, czy innym o mocnym zapachu płynem, celem odstręczenia od niego drapieżników, a pozostawić je naturalnemu procesowi gnicia, o ile głębokie zakopanie padłej sztuki jest zbyt trudne.

Jak widać z powyższego, rola drapieżników jest w łowisku rolą czynnika zapobiegającego powstaniu zarazy przez usunięcie osobników słabych i chorowitych, ale nie rolą sanitarjusza już w okresie wybuchu zarazy.

## LE SAINT HUBERT

N7/1938 str. 151 *„Walne Zgromadzenie St Hubert Club de France".* — Doroczne Walne Zgromadzenie tego centralnego zrzeszenia łowiectwa Francji rzuca pewne światło na stosunki łowieckie tego kraju. Liczba kart łowieckich wydana w 1937 r. stanowiła 1.485.294, w tem 30.883 ważnych na cały obszar kraju, pozostałe na obszar poszczególnych departamentów. Pod względem terminów łowieckich Francja podzielona jest na 5 stref, w których obowiązują rozmaite terminy otwarcia i zamknięcia polowań. Prefektom poszczególnych departamentów przysługuje jednak prawo przedłużania, względnie skracania terminów ochronnych. St-Hubert-Club domaga się ograniczenia tego prawa, a przynajmniej wprowadzenia zmian w porozumieniu się wzajemnem sąsiadujących departamentów, aby nie stwarzać pstrokacizny przepisów. Klub domaga się ponadto wzbronienia wydawania osobnych licencyj na niszczenie szkodników, co prowadzi do nadużyć w postaci masowego ustawiania przez właścicieli małych parceli sideł i wnyków rzekomo na króliki, w które łowione są zające i bażanty. Klub zwraca uwagę na ogromne szkody w zwierzostanie, powodowane przez włóczące się psy i wskazuje na konieczność walki z tem złem. Również zwrócić należy uwagę na wzmożone wskutek kryzysu kłusownictwo, ujawniające się zwłaszcza w okolicach podmiejskich. Dobrze zorganizowane nocne objazdy rewizyjne łowisk mogą być bardzo pomocne. Stan zwierzyny we Francji był w r. ub. mierny wskutek zimnej wiosny i licznych burz w drugiej połowie maja, powodujących zatopienie miejscowości niższych. Natomiast ilość zwierzyny przelotnej była dość znaczna, zwłaszcza przepiórek, co przypisać należy ochronie jej w krajach południowych. Rok ubiegły odznaczył się zwiększonem zainteresowaniem ciał ustawodawczych sprawami łowiectwa. Z dn. 31 lipca 1937 r. weszło w życie nowe prawo, rozszerzające odpowiedzialność właścicieli i użytkowników łowisk za szkody, czynione nietylko przez króliki, jak dotąd, ale i przez wszelką inną zwierzynę. Zagadnienie o odszkodowanie rozstrzyga sędzia pokoju i od orzeczenia jego niema odwołania, o ile suma odszkodowania nie przekracza 1500 fr. Przeszła już przez Senat i znajduje się obecnie na porządku obrad komisji rolnej Izby Deputowanych inna nowela do prawa łowieckiego, przewidująca obowiązek dołączenia do podania o kartę łowiecką dowodu ubezpieczenia myśliwego od wypadków na polowaniu za szkody, przyczynione osobom trzecim, do wysokości 100 tys. fr.

J.G.

# ROZMAITOŚCI

### SUKCES NASZEJ EKIPY W MIĘDZYNARODOWYCH MISTRZOSTWACH.

W łączności z treścią wzmianki, zamieszczoną pod powyższym tytułem w Nr. 26 „Łowca Polskiego", w której podane zostały wyniki strzelania naszej ekipy reprezentacyjnej w mistrzostwach międzynarodowych na r. 1938 w Czechosłowacji, dodać należy wynik rozgrywki o jedną jeszcze nagrodę, mianowicie o najlepszy wynik za wszystkie 4 dni strzelania. Przedstawia się on na pierwszych miejscach, jak następuje:

1. Hocke (Cz.) 370/400.
2. Strassburger (W.) 365/400.
3. Łyskowski (Pol.) 364/400.

### NAJMODNIEJSZA BROŃ MYŚLIWSKA.

W 3 numerze „Łowca Polskiego" z b. r. umieszczono moje uwagi w sprawie sztucera kal. 5.6 × 52 HP 22 Savage. Wtedy uważałem wymienioną broń za mało znaną i jeszcze niewypróbowaną dostatecznie. Ostatniemi czasy myśliwi, czytający zagraniczną literaturę łowiecką, mogli zauważyć, iż w Niemczech stworzono do kalibru 5.6 × 52 nowy nabój, osiągający szybkość 1100 m/sek. Takiej szybkości początkowej dotychczas żadna broń kulowa nie dawała.

Aby osiągnąć większą precyzję strzału oraz aby zwiększyć szybkość pocisku, stosuje się dłuższe lufy do broni kulowej. Minimalna długość lufy musi wynosić wtedy 70 cm. Otóż do nowego naboju kal. 5,6 stosuje się krótką lufę i mimo to osiąga się szybkość 1100 m/sek. Na wszystkie odległości do 300 metrów celuje się z tej broni w punkt. Zbyteczne jest podnoszenie szczerbiny, gdyż tor kuli jest przy tej szybkości poziomy.

Co jest zadziwiające przy tej broni, to ta okoliczność, iż można ją używać z doskonałem powodzeniem na wszelką zwierzynę, do najgrubszej włącznie. Niebywała dotychczas szybkość pocisku wyrównuje jego wagę i kaliber.

Niemieckie firmy rusznikarskie ogłaszają, iż każdy sztucer kal. 8 × 57 (najpopularniejszy w Niemczech), zamieniają na kal. 5,6 × 52. Sztucer oryginalny Savage jest jednostrzałowy, a naboje do niego były dotąd wykonywane tylko z rantem (brzegiem). Obecnie fabrykuje się w Niemczech naboje wymienionego kalibru z rantem i bez rantu, wskutek czego będzie można do tego naboju sporządzić karabinek powtarzalny.

A. SULIGA.

### KONKURS
### NA GRĘ LEŚNĄ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Główny Komitet Dnia Lasu ogłasza konkurs na grę towarzyską dla dzieci i młodzieży szkolnej.

Gra powinna mieć na celu rozbudzenie wśród grających zainteresowania się lasem i jego życiem, wykazanie znaczenia lasu i drzew, zachęcenie do zalesiania i zadrzewiania, oraz uświadomienie o konieczności poszanowania i ochrony zarówno roślinności, jak i fauny leśnej.

Tematem gry może być np. podróż po lasach polskich (puszczach, rezerwatach), rozpoznawanie poszczególnych gatunków drzew i krzewów leśnych, zobrazowanie ich życia od nasienia do ścięcia i przerobu, pielęgnowanie drzew, ochrona fauny, a w szczególności ptactwa, mrówek i t. p.

Gra może być ruchowa, na powietrzu lub w pokoju, względnie o charakterze rozrywki umysłowej (w formie tablic, klocków), powinna być zajmująca, a zarazem nieskomplikowana i dostępna dla dzieci i młodzieży pod każdym względem. Pożądane jest, aby w grze mogła brać udział większa liczba osób, a conajmniej dwie.

Projekty gry wraz z dokładnemi opisami, rysunkami i ewent. modelami należy nadsyłać w terminie *do dnia 30 września* 1938 r. pod adresem: Główny Komitet Dnia Lasu, Warszawa, Wawelska 52/54, pokój 232.

Projekty powinny być opatrzone dowolnem godłem, w osobnej zaś zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem, należy podać imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Za najlepsze i odpowiadające warunkom konkursu projekty będą przyznane trzy nagrody: I — 200 zł., II — 100 zł. i III — 50 zł.

Dalsze zasługujące na uwagę projekty zostaną odpowiednio wyróżnione.

Nagrodzone prace stają się własnością Głównego Komitetu z prawem nieograniczonego ich rozpowszechnienia pod firmą Głównego Komitetu i z podaniem nazwiska autora.

W skład Komisji konkursowej wejdą przedstawiciele Głównego Komitetu, nauczycielstwa i młodzieży.

GŁÓWNY KOMITET DNIA LASU.

### W SPRAWIE WYDAWNICTW.

Wobec przewidywanego wydania przez Polski Związek Łowiecki monografji jelenia, pragnęlibyśmy, aby wydawnictwo to było jaknajobficiej zilustrowane fotografjami żywych jeleni w różnych fazach ich życia i rozwoju. Potrzebne zatem nam będą fotografje łań samych i z cielętami, byków o wieńcach wykształconych oraz w okresie scypuły początkowej i końcowej; jeleni przy paśnikach, kąpieliskach, lizawkach, w chmarach i zbiórkach byków, ewentualnie byków walczących, ryczących, wycierających wieńce, również byków młodych, średnich i mocnych.

Także pragnęlibyśmy mieć serję fotografij zrzutów jednego i tego samego byka, a jednocześnie jego wieniec po ustrzeleniu, wreszcie fotografje drzew korowanych i wycieranych przez jelenie.

Wnosimy, że myśliwi doceniają potrzebę stworzenia poważniejszych monografij o zwierzynie naszej — co zwłaszcza jest obecnie rzeczą konieczną dla użytku młodszych leśników i początkujących myśliwych — i raczą nadesłać posiadane fotografje, czem przyczynią się do podniesienia jakościowej wartości monografji jelenia i praktycznego jej znaczenia dla łowiectwa.

**Redakcja.**

## Jesienne próby polowe

25 września r. b. jesienne próby polowe dla wyżłów angielskich ras urządza Pointer Klub w Polsce.

Teren prób — Radzymin. Zborny punkt na st. Radzymin, kolejki Mareckiej.

Dojazd kolejką Marecką z Warszawy (ul. Stalowa 60) o godz. 6 min. 57; 8 min. 30; 9 min. 20; 10 min. 20; 11 min. 17. Powrót z Radzymina do Warszawy o godz. 13,15; 14,15; 15.15; 16,28; 17,40; 19,24 i 21,04.

Rozpoczęcie prób o godz. 8 min. 30.

Do sądzenia psów zaproszono pp.: S. Czerskiego, I. Grymińskiego, K. Kamieńskiego i J. Wodzińskiego.

Wpisowe wynosi zł. 15.—, dla członków stowarzyszeń zrzeszonych w M. K. K. — zł. 10.—.

Zgłoszenia psów do 17 września włącznie przyjmuje S. Mackiewicz w Redakcji „Łowca Polskiego" — Nowy Świat 35, tel. Nr. 666-29.

### SPROSTOWANIE.

W Nr. 26 „Łowca Polskiego" do podpisu pod fotografją na str. 545, przedstawiającą mocnego rogacza, wydrukowano, że był ubity w Puszczy Kampinoskiej. Jest to omyłka zecerska; powinno być w Puszczy K u r p i o w s k i e j (nadl. Kolno).

TREŚĆ NUMERU:

# Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

## MEMORJAŁY DO WŁADZ.

Do Pana Ministra
Rolnictwa i Reform Rolnych
w Warszawie

Pismem z dnia 15 stycznia r. ub. Nr. 34—I/III, Polski Związek Łowiecki zwrócił się do Pana Ministra z prośbą o poddanie rozważeniu wniosku o utworzenie specjalnego funduszu na cele ochrony łowiectwa z 25% odliczeń z corocznych wpływów za karty łowieckie. Wniosek ten umotywowany był wprowadzeniem w życie nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego, wkładającego na Związek szereg zadań, jak współpracę z zagranicznemi organizacjami łowieckiemi, rozwój handlu zwierzyną żywą i bitą, popieranie hodowli psów myśliwskich oraz hodowli zwierzyny krajowej i aklimatyzację nowej, walkę z chorobami zakaźnemi, szkolenie personelu i straży łowieckiej, organizowanie zjazdów i pokazów krajowych oraz udział w międzynarodowych wystawach łowieckich, rozwój strzelectwa sportowego i myśliwskiego, wydawanie własnego organu i popieranie piśmiennictwa łowieckiego i t. p. Wykonanie tych rozlicznych zadań wymaga odpowiednich środków pieniężnych i utworzenie proponowanego funduszu ochrony łowiectwa miało właśnie na celu powiększenie tych środków, któremi Polski Związek Łowiecki może rozporządzać z tytułu składek członkowskich.

Prośba Związku narazie uwzględnioną nie została. Tymczasem dwuletni okres działalności Polskiego Związku Łowieckiego wykazał naocznie, że bez specjalnej dotacji na rzecz ochrony łowiectwa działalność ta nie będzie w stanie objąć całego zakresu zadań, ciążących na Związku, i nie pozwoli mu spełnić wyznaczonej roli.

Wykonanie budżetu Związku za lata 1936 i 1937 wykazuje po stronie wpływów zł. 43.147.—, po stronie wydatków zł. 40.845.—. Wydawnictwa Związku „Łowiec Polski" i „Kalendarz Myśliwski" wykazały w tym samym dwuletnim okresie zł. 98.465.— po stronie wpływów i zł. 95.217.— po stronie wydatków. Gospodarka Polskiego Związku Łowieckiego prowadzona była zatem oględnie i niedoboru nie było. Ale też z obszernego zakresu przewidzianej działalności Związku zrealizowane zostały tylko bardzo nieliczne zadania, jak organizacja łowiectwa w terenie, wydawanie własnego organu, przyznawanie odznaczeń za zasługi łowieckie i t. p. Natomiast leżą odłogiem takie sprawy jak: szkolenie personelu łowieckiego, organizacja zawodowej straży łowieckiej, powołanie do życia instytucyj badawczych w zakresie hodowli zwierzyny, hodowli psów myśliwskich i wartości użytkowej broni i amunicji, założenie szkoły dla treserów, walka z kłusownictwem przez wydawanie nagród pieniężnych za ujawnienie winnych, podjęcie akcji wydawniczej w zakresie popularnych dzieł łowieckich, założenie muzeum łowieckiego, należyte poparcie strzelectwa sportowego i myśliwskiego i t. p.

Jeżeli zwrócimy się do przykładu innych państw, przodujących w łowiectwie, to będziemy musieli stwierdzić, że tego rodzaju wydatki pokrywane są nie ze składek członkowskich centralnych organizacyj łowieckich, ale z dotacyj, przyznawanych przez rząd. Tak np. w Niemczech na rzecz Deutsche Jägerschaft przyznane jest 2/5 wpływów z kart łowieckich, co wynosi rocznie około 1.6 miljona RM., a we Francji na rzecz Comité National de la Chasse — po 5 fr. od karty łowieckiej, co daje rocznie ponad 7 miljonów fr.

Jeżeli przeto Polski Związek Łowiecki ma wykonać w pełni zlecone mu zadanie podniesienia wzwyż łowiectwa polskiego zarówno pod względem gospodarczym, jak i propagandowym — a łowiectwo nasze ma wszystkie po temu dane, jak to wykazała ostatnio Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie — to wydaje się koniecznem, aby z wpływów, osiąganych z kart łowieckich, a stanowiących około 400 tys. zł. rocznie, pewna część, np. $^1/_5$ — a więc połowa odsetka przeznaczonego na ten cel w Niemczech — przekazywana była Polskiemu Związkowi Łowieckiemu na „Fundusz Ochrony Łowiectwa" wzorem tego, jak to już uczyniono z „Funduszem Ochrony Rybołówstwa" w myśl brzmienia ustawy rybackiej z 1932 r.

Przedstawiając powyższe do uznania Pana Ministra, Polski Związek Łowiecki pozwala sobie jak najgoręcej prosić o poparcie wniosku, wypływającego z poczucia odpowiedzialności Związku za losy łowiectwa polskiego.

*Przewodniczący Komitetu Wykonawczego*

J. GIEYSZTOR

**KOMITET REDAKCYJNY:** K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, B. Świętorzecki, K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński

**PRENUMERATA:** Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał **zł. 6**; za pół roku **zł. 12**; za rok **zł. 24**; miesięcznie **zł. 2**. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

**CENY OGŁOSZEŃ:** Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
**Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

**Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.**
**Redaktor** przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

**Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.**

**Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.**

**ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa